Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 3 (1843) ● 16–22 stycznia 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



POLSKA CAŁA TYLKO BIAŁA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 36974e8f88

WOJNA DOMOWA

W Polsce 2050 odbyły się wybory. Ale tak w zasadzie to się nie odbyły, bo okazało się, że w drugiej turze zagłosowało ponad 20 tys. osób, mimo że partia ma 800 członków. A tak w zasadzie to nie zagłosowało, tylko chciało. A może w ogóle nie chciało, tylko wyświetliło formularz – na przykład oglądając go w socjal mediach – więc system do głosowania zablokował się automatycznie ze względów bezpieczeństwa. Tak przynajmniej twierdzi firma, która system dostarczyła – co, uczciwie mówiąc, jest chyba marnym PR-em. Kto z nas nigdy nie miał hasła brzmiącego „Jebac_nowe_haslo123!" po tym, jak jakiś system – ze względów bezpieczeństwa – zablokował nam dostęp do takiego czy innego konta i zażądał zmiany hasła? Ktoś może? Czy to tylko my?

Zanim system się wykrzaczył, do drugiej tury przeszły Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Paulina Hennig-Kloska. Pierwsza dostała 277 głosów, druga – 131. Co oznacza, że reszta do kupy zdobyła 248, każdy scenariusz był więc możliwy. Politycy z innych partii koalicji udawali życzliwą neutralność – choć co myślą tuskiści w zasadzie było wiadomo, zważywszy na żywiołową niechęć, jaką Pełczyńską-Nałęcz darzy Donald Tusk. Z kolei pisowcy z radością zajmowali stanowisko; jak na przykład Tobiasz Bocheński, który ogłosił, że kibicuje Hennig-Klosce, bo Pełczyńska-Nałęcz ma jakąś minimalną szansę na postawienie partii na nogi. Nas najbardziej oczarował wybitny intelektualista lewicy, były minister nauki Dariusz Wieczorek, który wyznał: „Nieoficjalnie jak się rozmawia z kolegami i koleżankami z Polski 2050, to jak do tej pory drwili z tego, że w lewicy był jeden kandydat, to teraz mówią: kurczę, chyba mieliście rację". Jasne. Jak z góry wiadomo, kto ma wygrać, to nie tylko system do głosowania, ale i samo głosowanie jest niepotrzebne.

A teraz w Polsce 2050 to już w ogóle nie wiadomo, kto ma wygrać, bo Szymon Hołownia ponoć doszedł do wniosku, że rola szeregowego członka mu jednak nie leży i jako ciągle jeszcze szef partii własnego imienia ogłosił, że rada krajowa może podjąć dwie decyzje – w tym unieważnić także pierwszą turę. A zapytany, czy w tej powtórzonej pierwszej turze planuje sam kandydować, odrzekł, że nie wie, co zostało powszechnie zinterpretowane jako „tak".

Zanim jednak zdążyliśmy się na dobre rozsmakować w szymonowej ciotodramie, światła reflektorów skradł mu Zbigniew Ziobro, który dostał azyl na Węgrzech. Najpierw wszyscy wstrzymywaliśmy oddech, bo od paru dni słychać było, że stałe przedstawicielstwo Węgier przy Unii Europejskiej poinformowało o azylu dla „dwóch obywateli RP", ale nie podało nazwisk – ale na szczęście wszystko się wyjaśniło. Chodzi o Zbigniewa Ziobrę i Patrycję Kotecką. Nawiasem mówiąc: słyszeliście o jakichś zarzutach wobec Koteckiej? Na chuj jej ten azyl? Chociaż z drugiej strony – Trump, porywając prezydenta Wenezueli, do kompletu zabrał jego żonę, więc lepiej dmuchać na zimne. Zwłaszcza po tym, jak minister sprawiedliwości Waldemar Żurek ogłosił, że „jakbyśmy chcieli, to byśmy go w bagażniku przywieźli, służby na całym świecie robią takie rzeczy". A tak między nami: nie jesteście odrobinę ciekawi, czy nasza kosztująca dwieście dużych baniek rocznie armia dałaby radę dmuchnąć Ziobrę spod nosa Orbánowi? Nie żebyśmy zachęcali – generalnie to są metody państw totalitarnych (czyt.: USA i Izraela) – ale tak troszkę nas to zastanawia…

À propos bagażnika: Waldemar Żurek pojechał do Brukseli, gdzie ogłosił, że „minęło 6 lat od marszu tysiąca tóg" – więc to jest moment, „żeby w Europie stworzyć dzień sędziowskiej niezależności", który byłby obchodzony 11 stycznia. My to z całego serca popieramy. Proponujemy jeszcze stworzyć dzień uczciwych kasjerów, chirurgów, którzy nie mdleją na widok krwi, i profesorów uniwersyteckich niebędących analfabetami. „Korzystając z okazji, bo w końcu awaria też jest jakąś okazją, by naszym pasażerom, ludziom dobrej roboty, bo są nimi przecież, zaprezentować, do czasu usunięcia awarii, artystyczny program"… Min. Żurek ogłosił także, że azyl Ziobry i starej Ziobrowej go oburza, „bo jeżeli zrobi się taka praktyka, że kolejne kraje wewnątrz Unii będą udzielały sobie azylu, swoim bądź obcym obywatelom (sic!), ale unijnym, to wspólna przestrzeń prawna zniknie". Polska ma prawo to mówić, bo jest w awangardzie: dzięki znakomitemu przywództwu premiera Donalda Tuska nie udziela azylu nikomu.

Cały kraj wstrzymał dech po tym, jak nauczycielka z Kielna „wyrzuciła krzyż do kosza". Wprawdzie potem okazało się, że krzyż wydrukowany na drukarce 3D stanowił element stroju mnicha i ktoś go dla beki powiesił nad klatką chomika, ale krzyż jest krzyż, oburzyć się zawsze można. Pod szkołą odbyła się więc manifestacja „w obronie krzyża" z udziałem parki posłów PiS i niezawodnego Bąkiewicza. To nas akurat nie dziwi. Za to nieco ubawił nas minister energii Miłosz Motyka, który wziął udział w konferencji rzecznika rządu, żeby pochwalić się projektem nowelizacji prawa energetycznego – ale w temacie krzyża nie wytrzymywał nerwowo. Kiedy dziennikarka od Karnowskiego zapytała Szłapkę o krzyż, Motyka wbił się przed mikrofon i zawrzasnął, że „wyciąganie wniosków przez państwa stację, że jest jakiekolwiek przyzwolenie na takie akty, jest dalece nieuprawnione, nieprawdziwe". Teraz w PSL wszyscy zachowują czujność, bo jak nie, to ciocia Władzia nie zostanie świętą.

À propos PSL: wicemarszałek Zgorzelski przedstawił „własną definicję Brauna" i jego formacji politycznej, którą nazywa błyskotliwie „Konfederacją Putina". Otóż jest to „cynizm i chłodna kalkulacja opakowana w fanatyzm". Zgorzelski „nie wierzy w Brauna antypolonizm" – którym w istocie jest „mówienie, że nie było komór gazowych i że Polaków w tych piecach nie palono"; nie wierzy też „w Brauna antysemityzm" (akurat z uwierzeniem, że Polak-katolik może być antysemitą, my nie mamy szczególnych problemów); ani „nie wierzy w jego prorosyjskość"; natomiast wierzy, że Braun „używa tych rzeczy do zbudowania sobie poparcia, grając na różnych, często bardzo wrażliwych nutach także wśród Polaków". I to nas szczerze zainteresowało. Czy to znaczy, że wicemarszałek z Polskiego Stronnictwa Ludowego uważa, że w Polsce jest tyle ruskich onuc, że można sobie na nich „zbudować poparcie", nawet nieszczerze? I kto tu jest człowiekiem Putina?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Styczeń 2014 r.

Świętej Alix

Kibole Legii skazani zostali na pójście do teatru. W razie recydywy trafić mają na koncert do filharmonii. Wtedy stadiony opustoszeją ze strachu.

Świętego Gauillame'a

Dziennikarka „Gazety Polskiej", współautorka dzieła „Resortowe dzieci. Media" milczy na swoim procesie o korupcję. Jak kania dżdżu pudel Azor pragnie, żeby skazano tę redaktorkę o ksywie Pożyczka. Prapradziadek Azora był pudlem agenta SB, z którym wieczorami chadzał na spacery. Jego kupa była przykrywką dla spotkań pana z towarzyszem oficerem prowadzącym. Azorek lęka się, że trafi do drugiego tomu książki „Resortowe dzieci. Sierściaki".

Świętego Paulina

Agent Tomek, który rozpoczynał w agencji antykorupcyjnej, awansuje w przyszłości do agencji towarzyskiej. Karierę w tajnych policjach i w sejmie ma bowiem już zamkniętą. Pilnie potrzebuje go go-go w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu, które chcą zamknąć przez bliskość krzyża i kościoła. Agent Tomek byłby bezcennym obrońcą ze swoimi znajomościami w policjach i wśród polityków. W Polsce już nie ma miejsca, gdzie można by założyć burdel, bo zewsząd jest blisko do jakiegoś krzyża, kościoła lub świątobliwej szkoły.

Świętego Paulina cd.

W prawicowo-narodowej prasie trwa kampania na rzecz eksmisji nieboszczyków. Chodzi o to, żeby komunistów wyrzucić z cmentarza komunalnego (dawniej wojskowego) na Powązkach w Warszawie. Leżą tam bowiem akowcy i działacze byłej opozycji, więc brzydzi ich sąsiedztwo czerwonych trupów.

Tak się złożyło, że po wojnie cmentarz ten zasiedlili po brzegi komuniści i nasi poputczycy. A następnie w geście przyjaźni przyjęliśmy tam akowców. Wyrzucanie gospodarzy przez sublokatorów bywa częste po zmianie władzy. Niezłomni polscy Polacy mają jednak tuż obok Powązki katolickie. Ich trupy tam więc należy wysiedlić, a poczują się pysznie. Patriotyczne zwłoki nie będą musiały przy pogrzebach słuchać „Międzynarodówki".

Chrzest Chrystusa

Drugi po Marcinie Wolskim poeta PiS, rymiarz Jarosław Marek Rymkiewicz, pisze prozą w „Gazecie Polskiej" z 8 stycznia, że tak jak Generalgouvernement, Polska jest teraz dla Niemiec tworem przejściowym. Berlin ma tajne projekty, co w przyszłości zrobić z Polską. Ich katalog Niemcy opracowali pomiędzy rokiem 1772 (pierwszy rozbiór) a 1945. „Warto go ogłosić, bo wiedzielibyśmy, co nasi przyjaciele zza Odry mogą z nami zrobić".

O ile ja znam się na geopolityce, Rymkiewicz strasząc Niemcami, agituje za sojuszem z Rosją. I przez to nie zostanie, pomimo potęgi swego rozumu, ministrem spraw zagranicznych u Kaczyńskiego.

Świętego Lucjana

Jak już informowałem, 2 stycznia po pijanemu upadłem pod bar, tam usnąłem i obudziłem się połamany. Po tygodniu bólu pojechałem się prześwietlić. Jakaś katoliczka, widząc mnie w poczekalni pełnej złamanych ludzi, zaczęła radośnie krzyczeć: – No i wreszcie przyszedł koniec na tego Goebbelsa!

Aby damę tę szlag trafił, informuję uprzejmie, iż prześwietlenie wykazało, że nic mi nie jest. To znaczy jest mi. Przykro, że ją zawiodłem.

Świętej Gretty

Po hucznym sylwestrze w redakcji „NIE" w lodówce znaleziono prezerwatywę pełną spermy. Ktoś zostawił ją sobie na później. Właścicielowi lub właścicielce grozi utrata terminu ważności. A propos. Pani Bratkowska, która dzielnie obiecała, że w Wigilię 2013 r. zrobi sobie skrobankę, wedle niepotwierdzonych wiadomości zapomniała wcześniej zajść w ciążę.

Świętej Niny

Głównym wydarzeniem roku 2014 wciąż pozostaje plastikowa nagość Maryli Rodowicz z występu na Sylwestra. Jednych wścieka, że była goła, drugich, że nagość była sztuczna. Aby zobaczyć prawdziwe ciała dzisiejszych celebrytek, należy kupować bilety nie na koncerty, tylko do prosektorium.

Świętego Remigiusza

Od kiedy pijany kierowca zabił sześć osób za jednym zamachem, wypadki mają takie wzięcie, że codziennie jakiś wypadek jest pierwszą wiadomością we wszystkich telewizjach.

Rząd Tuska ogłosił całkiem sensowny i ważny program poczynań. Informacje o nim całkowicie przesłoniła stłuczka w Przasnyszu. Aby nie denerwować widzów ewentualną wojną lub powodzią ogólnoeuropejską, należy w razie czego walnąć samochodem w latarnię. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- W Ujanowicach opracowano **aplikację Adventus,** dzięki której można poznać trasę chodzącego po kolędzie księdza. To odwrotność aplikacji Uber Eats, bo przychodzi i wyżera.
- **TikTok** usunął filmy Grzegorza Brauna. Ciekawe, jak ocenzurują obrady Europarlamentu.
- **Joanna Szczepkowska** powiedziała, że Karol Nawrocki jest nadęty i pusty. Widać, prezydent powinien być pełny jak Komorowski.
- **TVP** szykuje seriale o aferach za rządów PiS. Happy endu nie będzie.
- **Prezes Naczelnej Rady Łowieckiej** skrytykował zakaz uczestnictwa dzieci w polowaniach. Skandal! Dzieci świetnie sprawdzają się do zanęcania wilków.
- **Wojciech Cejrowski** ostrzega, że brak odśnieżania ma nas przygotować do zaborów. Mimo mrozu, Cejrowski odpalił.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Melania pójdzie do piekła

Czyżby na naszych oczach dokonywała się tzw. chomeinizacja świata? Aresztowanie N. Maduro wraz z jego żoną Cilią Flores na to wskazuje. Co żona ma do grzechów i niegodziwości męża? Przecież nie złapano jej na tym, aby „zawijała w te sreberka" kokę i wysyłała do USA. Nikt nie podaje, dlaczego ubrano ją w więzienny drelich i ciąga po sądach, a przy tym, jak piszą, dostała kulkę od obrońców świata. Idąc tym tropem, gdy D. Trump pójdzie do piekła, to diabły zaciągną tam też Melanie, jego żonę? Przypomnę, że jest ona pobożną katoliczką, czego dała wyraz podczas wizyty u papieża Franciszka. Może Redakcja wzięłaby w obronę tę biedną, bogu ducha winną kobietę, w końcu to nie żadna muzułmanka ze Strefy Gazy.

Jerzy Dryzek

Konieczność, a nie idealizm

To, co dzieje się obecnie na świecie, powinno zmusić nas do całkowicie innego myślenia i dokonania radykalnych zmian. Moim zdaniem powinniśmy utworzyć wspólne rządy światowe. Nie jest to nic nowego. Albert Einstein mówił już o tym po zakończeniu II wojny światowej. Mamy ONZ i na jej bazie można zorganizować wspólne światowe rządy. Po co wojować, jak można współpracować. Pod presją zmian klimatycznych współpraca to konieczność, a nie jakiś idealizm. Żyjemy na jednej wspólnej planecie, dlatego wszyscy razem powinniśmy dbać o naszą egzystencję na Ziemi. Potrzebujemy do tego polityków z otwartą głową, gotowych do zmierzenia się z naszymi współczesnymi problemami. A tych problemów jest wiele. To przede wszystkim zmiany klimatyczne, przeludnienie, kryzys energetyczny, ginąca przyroda, kończące się surowce... Czeka nas wkrótce zupełnie inne życie. Moim zdaniem już teraz toczy się walka o przetrwanie naszej planety. Nie chcemy jednak tego widzieć, nie chcemy spojrzeć prosto w oczy tym niekorzystnym zmianom przez nas, ludzi, spowodowanym.

Nie jest to proste zadanie do wykonania, gdy wybieramy takich polityków jak Putin, Trump, Nawrocki, Kaczyński... (…) Albo się dogadamy, albo zginiemy. Osobiście jestem sceptykiem co do ludzkości. Chciałbym się oczywiście mylić, jednak nie sądzę, aby tak było.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

eprasa.pl 36974e8f88

Chwytając się za perły

Co łączy Zenka Martyniuka z „Dragonem”

Mam apel do prorządowego komentariatu: na miłość boga nieistniejącego, przestańcie pompować notowania Nawrockiemu! On sobie sam z tym świetnie radzi.

Za każdym razem, kiedy TVN24, „Gazeta Wyborcza”, Wirtualna Polska czy Onet dostają orgazmu z powodu kolejnego materiału o szemranych kontaktach Karola Nawrockiego – przypomina mi się stare rosyjskie powiedzenie: ile razy można nadepnąć na te same grabie? Czy ci geniusze agitpropu naprawdę nie zauważyli jeszcze, że to, co oni – jako przedstawiciele wielkomiejskich, głównie warszawskich elit – uważają za haniebne i do cna kompromitujące, jest siłą Nawrockiego?

Czołem, kibole!

Ostatnia zadyma – ta z pielgrzymką kiboli i wylewnym przywitaniem prezydenta RP z niejakim „Dragonem”, wielokrotnie karanym szefem ultrasów Jagiellonii Białystok – to kolejny grabiowy rytuał. Sprawę z wielką ekscytacją odkryła Wirtualna Polska, a TVN24 podchwycił z jeszcze większym entuzjazmem, ćwicząc temat w każdej dyskusji w studiu i szybko montując reportaż zatytułowany złowieszczo „Idą…”.

„Karol Nawrocki nie ma żadnego problemu z afiliacją kibolską” – reklamował swoje dzieło autor reportażu Marek Osiecimski. Owszem, nie ma. Gratulujemy spostrzegawczości. Teraz może warto by było wyciągnąć z tego jakieś wnioski.

Jak interpretować fakt, iż Karol Nawrocki – oskarżany nie tylko o kibolstwo, ale także o sutenerstwo, nie wspominając już o wyłudzeniu kawalerki od znajomego alkoholika – wygrał wybory z ulubieńcem salonów i pozostaje liderem sondaży zaufania, wyprzedzając polityków obecnej koalicji o 10 punktów procentowych? Może to jest moment, żeby propagatorzy antypisu zadali sobie pytanie: co robimy nie tak?

Uczenie się na cudzych błędach nie jest łatwe, ale to, z czym w obliczu Nawrockiego zmaga się środowisko śp. Platformy i jej sojusznicy, dekadę temu przechodzili amerykańscy demokraci, którzy stali się zupełnie bezsilni wobec zjawiska, jakim okazał się Donald Trump.

Pamiętacie taśmy „Access Hollywood”? 7 października 2016 r., miesiąc przed wyborami, „Washington Post” z absolutną ekscytacją opublikował nagranie sprzed dekady, gdzie w kulisach programu o celebrytach Donald Trump mówił obleśnie o kobietach, wygłaszając pamiętne zdanie, że „kiedy jesteś gwiazdą, możesz łapać je za cipy”. W sztabie Hillary Clinton zapanowała euforia i całkowita pewność, że zwycięstwo mają w kieszeni. Sztab Trumpa – przynajmniej oficjalnie – za bardzo się nie przejął, a kandydat rzucił lekceważąco, że to były takie tam pogaduszki z męskiej szatni. Wszyscy pamiętamy, co się stało dalej – Trump wygrał wybory – ale mam wrażenie, że nikt po tej progresywnej, eleganckiej stronie nie zadał sobie szczerze pytania: dlaczego wyborcy nie podzielili naszego oburzenia?



Rys. OBYWATEL JANEK

Może ludzie z „tamtej strony torów” (amerykański idiom oznaczający uboższą i bardziej niebezpieczną część miasta) nie oburzają się tak łatwo? Co może wynikać z faktu, iż ich życie pełne jest prawdziwych powodów do wkurwu i poczucia krzywdy, toteż skłonność elit do powierzchownych uniesień budzi w nich nawet niejakie rozbawienie. Na to jest inny angielski idiom: *pearl clutching*, co można niezbyt zręcznie przetłumaczyć jako „chwytanie się za perły”: chodzi o ten egzaltowany gest, który damy ze starych filmów wykonują w chwilach szoku, kiedy upierścionionymi dłońmi chwytają się za ozdobioną sznurem pereł pierś.

Słaba przemoc symboliczna

Dla przyszłości demokracji – w czasach ekstremistycznych populistów – ten rozdźwięk między zwykłymi ludźmi i tzw. demokratycznymi elitami jest szczególnie niebezpieczny. Establishment tkwi mentalnie w minionej erze, kiedy dysponował tym magicznym narzędziem sprawowania władzy, które francuski socjolog Pierre Bourdieu nazwał przemocą symboliczną. Czyli możliwością narzucania klasom ludowym swoich norm, zwłaszcza kulturowych, w taki sposób, aby one uznawały ten stan za naturalny. I aby aspirowały do tego wyrafinowania, którym charakteryzują się elity, zamiast kierować się w życiu własnym gustem. W Polsce ten czas definitywnie minął wraz z wkroczeniem Zenka Martyniuka do TVP. To wtedy telewizja publiczna, która zawsze pełniła rolę jakoś tam opiniotwórczą, powiedziała ludziom, że nie muszą się wstydzić tego, że lubią disco polo – ani udawać, że mają ochotę w sylwestra słuchać „Traviaty”. Był to swoiście przełomowy moment.

Jak to się ma do misia Nawrockiego z „Dragonem”? Wbrew pozorom bardzo. Otóż związane z obecną władzą

elity ciągle sądzą, że powinny narzucać ludowi swój gust. I są szczerze oburzone faktem, że lud stał się na ten cywilizujący wpływ odporny. Ile razy w ciągu ostatniego półrocza słyszeliśmy lament nad tym, że Polacy „woleli alfonsa niż człowieka, który zna pięć języków”?

Teraz słyszymy to samo: „Zwycięstwo Karola Nawrockiego jest ukoronowaniem tego procesu rozlewania się kultury kibicowskiej poza stadiony”; a potem obrazek, jak stadion śpiewa „Zawsze i wszędzie policja jebana będzie”.

„Ten okrzyk pod adresem jednej z ważniejszych służb państwowych padł z trybun w obecności prezydenta. Chwilę później – podkreślmy – głowa państwa, najwyższy rangą jego urzędnik, jak gdyby nigdy nic idzie na trybuny, z których padły te obraźliwe słowa pod adresem policjantów. Nie z reprymendą; z przyjacielską wizytą” – perorował z napięciem red. Osieciński w reportażu. A w programie „W kuluarach” red. Adamek pokazała, jak Nawrocki przywitany wrzaskiem „Czołem, panie prezydencie” odwrzasnął „Czołem, kibice”. „Pytanie, które trzeba wobec tego, co tam się wydarzyło, postawić, brzmi: czy polski mundur nie został znieważony?” – zapowietrzała się red. Adamek. Słyszycie ten stukot miętoszonych pereł?

Kto nie lubi wyborców

Dziwaczne jest to, że czołowi politycy KO zdają się rozumieć, że ta technologia obrzydzania Nawrockiego nie działa; a nawet że działanie prezydenta jest przemyślane i ma z jego punktu widzenia głęboki sens. Tylko wyciągnięcie wniosków wydaje im się wyraźnie zbyt bolesne.

We wrześniu na „Campusie” w Borach Tucholskich Rafał Trzaskowski powiedział coś, co mogło wskazywać na jakąś refleksję: „Ja sprzeciwiam się temu, żeby atakować czy wyśmiewać się z rodziny pana prezydenta Nawrockiego, czy z niego samego, jeżeli chodzi o jego umiejętności językowe, jeżeli chodzi o to, w jaki sposób się prezentuje, jaką ma postawę”… – ale dalej już nie wytrzymał i dodał ze słabo skrywaną pogardą: „Wybory jasno udowodniły, że większość Polaków albo nie ma z tym żadnego problemu, albo wręcz im się to podoba”. I jeszcze dobił – kompletnie idiotycznie w kraju, gdzie 9 mln. ludzi pali: „Również to, że pan prezydent najwyraźniej nadużywa nikotyny”.

Także Donald Tusk – jak słyszymy – zaczął rozumieć, że komitywa z kibolami to nie wpadka prezydenta, tylko jego strategia. Ponoć na ostatniej radzie ministrów wygłosił monolog o tym, że Karol Nawrocki ma taki właśnie pomysł na budowanie siebie i na to, do jakich emocji się w polityce odwoływać. Tylko co z tego zrozumienia wynika – skoro w zachowaniach członków rządu i jego piewców nadal widać tę samą pogardę dla ludu?

Jest taki genialny cytat z Davida Axelroda – spin doctora Baracka Obamy – który powtarzam do wyrzygania. I wybaczcie, ale teraz też powtórzę, bo to kwintesencja propagandowej klęski obecnego układu rządzącego: „Ludzie mogą zagłosować na kogoś, kogo nie lubią. Głosowali na Nixona, a nikt nie lubił Nixona. Ale ludzie nie zagłosują na kogoś, kto ich nie lubi”.

Może jest to moment, żeby KO zamówiła sobie badanie fokusowe. I zapytała prostego wyborcę z Końskich: czy kiedy polityk mówi o Polakach, że taki szemrany Nawrocki nie tylko im nie przeszkadza, ale „wręcz się podoba” – to ów polityk lubi tych Polaków, czy też nieszczególnie?

I przy okazji warto zapytać, jak bardzo oburza ich facet, który – mimo oszałamiającej kariery – nie wypiera się swoich starych kumpli, nawet tych szemranych, bo jest swój chłop i nie ma nasrane do głowy? Do którego z tych dwóch modeli uprawiania polityki jest im bliżej?

Alternatywa jest taka, że rząd rozwiąże naród i wybierze sobie inny.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Niech zapłaci kasjerka

Kto sponsoruje państwo polskie

Wyobraź sobie, że przez 20 lat codziennie wstajesz, idziesz do roboty, płacisz VAT w sklepie, ZUS na pasku, akcyzę na stacji, PIT w rozliczeniu, a potem włączasz telewizor i słyszysz, że „biedne firmy” dźwigają na sobie ciężar państwa, więc trzeba je chronić jak pandę wielką przed globalnym ociepleniem. Ty jesteś co najwyżej tłem: statystą w spocie Ministerstwa Finansów, który ma się cieszyć, że „klimat dla biznesu” jest sprzyjający, nawet jeśli klimat w Twoim portfelu przypomina luty w Suwałkach.

Kto naprawdę płaci za państwo? Jeśli odrzeć podatki z ekonomicznego żargonu, zostaje prosty obraz: polskie państwo stoi na plecach pracownika i konsumenta jak dobrze odżywiony prezes na kręgosłupie kuriera z InPostu.

Z samych PIT-ów i konsumenckiego VAT-u obywatele wykładają około 390 mld zł rocznie – przy mniej więcej 60 mld z CIT-u od zysków firm. To relacja 6,5 do 1 na korzyść zwykłych ludzi. Kumasz? Płacimy ponad sześć razy więcej podatków niż cały polski biznes. A jeśli dorzucić akcyzę – tę dyskretną opłatę za każdy łyk alkoholu czy papierosowy dymek – proporcja rośnie do prawie 8 zł z Twojej kieszeni na każdą złotówkę od biznesu.

Teraz mała scenka rodzajowa: pracownica – powiedzmy trzydziestoparoletnia kasjerka z Auchan w Piasecznie – generuje „strumień danin”. Tysiące takich kasjerek wytwarza strumień kasy, jaki księgowy z Wall Street zobaczyłby chyba tylko w mokrym śnie. Po zsumowaniu VAT-u, PIT-u, akcyzy oraz składek ZUS i zdrowotnej, obywatel-pracownik i obywatel-konsument zasilają w jednym roku sektor publiczny kwotą rzędu 996 mld zł. Prawie bilion – słowo zwykle zarezerwowane dla „odpowiedzialnych reform” i wieloletnich planów modernizacji armii.

W tym samym czasie z podatku od zysków firm spływa tylko około 60 mld zł. To proporcja ponad 16 do 1. Łapiesz? Szesnaście do jednego! Za każdą złotówkę, którą oddaje budżetowi kapitał, praca i konsumpcja dokładają ponad 16 zł!



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Na papierze VAT płacą firmy. W rzeczywistości – Ty. Gdy kupujesz chleb, leki, prąd i bilet do kina. Szacuje się, że 70–80 proc. wpływów z VAT pochodzi z prywatnej konsumpcji. To sporo ponad 200 mld zł rocznie – ponad trzykrotnie więcej niż cały CIT. Z Twoich zakupów finansuje się więc autostrady, czołgi, konferencje o „innowacyjności gospodarki”, „integracje” z paintballem dla korpoludków i służbowe podróże pana Janusza i Grażyny do Tajlandii.

Jest w tym jeszcze jeden haczyk: biedniejsi wydają na konsumpcję niemal wszystko. Bogatsi znaczną część dochodów parkują tam, gdzie VAT już nie sięga – w nieruchomości, oszczędności i wehikuły finansowe, które znasz głównie z reklam banków.

Na tle OECD Polska wygląda jak kraj, który podręcznik nowoczesnej polityki podatkowej trzyma na biurku wyłącznie jako PR-ową dekorację. W większości państw firmy dokładają ok. 4 proc. PKB i 9–10 proc. podatków, a VAT równoważy progresja na górze drabiny. U nas CIT to ledwie 2,6 proc. PKB i trochę ponad 7 proc. wpływów, za to państwo doi Twoją pensję i zakupy. Do zysków firm nasz rząd podchodzi natomiast z czułością ojca chrzestnego wobec żołnierzy własnej mafii.

Przez dwie dekady PO–PiS opowiadał jedną historię: przedsiębiorca jest jak kruche dziecko liberalnej demokracji, któremu byle podwyżka CIT-u złamie charakter i wypchnie go na podatkową emigrację do Czech. Ale żeby powiedzieć coś bardziej seksi, przypomnę, że robienie laski biznesowi zaczął w 2003 r. „lewicowy” Leszek Miller, tnąc CIT z 27 do 19 procent. W ten sposób pomógł wyprodukować exodus elektoratu z SLD i zwycięstwo PiS w 2005 r.

W rzeczywistości klin podatkowy od pracy jest u nas wysoki już przy niskich zarobkach. Pracownik nie ma drogi ucieczki – wszystko schodzi z automatu z pensji i z każdego paragonu. Firmy za to mogą optymalizować zyski, korzystać z ulg i produkować koszty z sufitu, żeby CIT był tylko skromnym datkiem wrzuconym na tacę.

Efekt? Politycy mówią o odpowiedzialnej polityce podatkowej, a w praktyce bronią przywilejów kapitału kosztem tych, którym na koniec miesiąca zostaje w portfelu zbyt mało, by w ogóle o kapitale marzyć.

Można udawać, że państwo stoi na barkach przedsiębiorców, ale tabelki GUS nie kłamią: stoi na Twojej pracy, Twoich zakupach, Twoim strachu przed chorobą i starością.

Gdy więc następnym razem minister z troską w oku powie, że „nie można przesadnie obciążać firm”, że „biznes daje ci pracę”, że „PKB tworzą ludzie biznesu”, spójrz na swój pasek wypłaty, paragon ze stacji benzynowej i rachunek za prąd. Tam jest prawdziwy sponsor polskiej demokracji.

I pamiętaj: kiedy w Polsce mówi się, że „biznes nie udźwignie wyższych podatków”, zwykle chodzi o to, że Tobie można jeszcze spokojnie coś dołożyć – bo Ty nie masz działu optymalizacji podatkowej. Masz tylko wózek w sklepie, do którego wciąż wkładasz to samo, ale przy kasie coraz więcej wyjmujesz z portfela.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 36974e8f88

Nie jesteśmy dżentelmenami

SŁOWO CZERWONE

Spotkanie liberałów z ludem

Dżentelmeni nie mówią o pieniądzach. Dlatego pracodawcy oburzają się, kiedy osoby ubiegające się o posadę zaczynają bezceremonialnie rozmowę od pytania: Ile na rękę. Dżentelmen to pojęcie anglosaskie i oznacza człowieka, który nie musi pracować na swoje utrzymanie. My, Polacy, nie jesteśmy dżentelmenami. Do pracy chodzimy dla kasy. Żeby utrzymać siebie i rodzinę. W ogłoszeniach o poszukiwaniu pracowników prawie nigdy nie ma mowy o tym, za ile. Jak gdyby sprawa pensji była wstydliwa i drugorzędna. Rzadko też wymienia się formę zatrudnienia. Nie ma ogłoszeń typu: „zatrudnię na pełny etat", a przecież większość z nas chciałaby mieć płatny urlop, płatne zwolnienie chorobowe, ochronę prawa pracy.

W tym celu ministra pracy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk wysunęła projekt wzmacniający kompetencje Państwowej Inspekcji Pracy. Chodzi o to, by inspektorzy mogli własną decyzją ze skutkiem natychmiastowym przekształcać umowy śmieciowe, czyli zlecenia, o dzieło lub B2B (firma z firmą, np. jednoosobową firma sprzątającą z korporacją) w umowy o pracę wszędzie tam, gdzie forma zatrudnienia spełnia definicję stosunku pracy (etatu). Premier Tusk początkowo zgodził się na procedowanie tego projektu, bo w negocjacjach z Unią Europejską był to kamień milowy, od którego spełnienia uzależnione jest wypłacenie ok. 20 mld zł z Krajowego Planu Odbudowy. Teraz jednak się z tego wycofał, żeby zrobić dobrze szemranemu biznesowi, który co roku kantuje państwo na 2,5 mld zł.

Jednym z argumentów premiera i jego biznesowego otoczenia jest teza, że pracownicy wolą śmieciówki, bo kiedy pracodawca oszczędza na daninach od umowy, pracownik dostaje więcej pieniędzy. Po pierwsze, niekoniecznie, bo w wielu przypadkach te różnice zatrzymuje biznesmen. Po drugie, kontrole PiP większości będą dokonywane na wniosek pracowników. A skoro będą wnioskować, to będą chcieć umowy o pracę. Z własnej inicjatywy PiP jest w stanie na razie dokonywać 200 takich kontroli (ewentualnych przekształceń śmieciówek w umowy o pracę).

Ciekawa jest figura, że premier mówi za ludzi pracy, czego oni chcą. I najważniejsze: rząd nawet nie próbował się dowiedzieć, czego chce świat pracy.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Premier był łaskaw spotkać się z miliarderami w gmachu giełdy i namawiać ich, żeby się bogacili, ale z przedstawicielami 16 mln. ludzi pracy – nie.

Doradza mu miliarder, ale żaden związkowiec. Co jeszcze raz dowodzi, że to jest rząd biznesu, a nie pracowników, czyli mniejszości, a nie większości społeczeństwa.

Codziennie przyjmuję w Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej ludzi pracy i od wielu z nich dowiaduję się, że cywilnoprawną formę umowy narzuca szef. A jak człowiek chce normalną umowę, to pracy nie otrzymuje. Oszczędzają na kosztach pracy, czyli na nas. Rekrutując pracowników, obiecują jakiś enigmatyczny rozwój, przekonują, że firma to jak rodzina. Jest tam mnóstwo frazesów i ani słowa o wysokości wynagrodzenia czy formie zatrudnienia. A w rodzinie, wiadomo, jak w rodzinie, wszyscy się kochamy i nie spieramy się o pieniądze.

Byłoby elegancko, gdyby „dżentelmen" z KO spotkał się z pracownikami i zapytał, co sądzą o narzucaniu im umów, które nie dają praw pracowniczych. Niekoniecznie w gmachu giełdy, a w jakimś dużym zakładzie. Na razie nic na to nie wskazuje, żeby takie spotkanie się wydarzyło. Ale będę o nie zabiegał.

Premier ma nadzieję, że Unia zgodzi się na takie poprawki w projekcie, które ów projekt unicestwią. Np. przez uzależnienie kontroli PiP od zgody pracodawcy. Albo żeby skutek kontroli i ustalenia stosunku pracy nie był natychmiastowy, albo żeby była jakaś specjalna szybka ścieżka sądowa do dokonywania takich ustaleń. Jednym słowem wszystko, tylko nie rozwiązanie propracownicze. Bo tu rządzą szemrani pracodawcy, którzy dalej będą orzynać nas na miliardy złotych dla własnej korzyści, nawet jeżeli ceną za to dalsze orzynanie ma być utrata wielkich unijnych funduszy.

Reformę w rządzie poparli z oczywistych względów minister finansów i minister sprawiedliwości. Ten pierwszy dla pieniędzy i wpływów budżetowych (znów te wstrętne pieniądze), drugi poszedł dalej i zaproponował, żeby wprowadzić domniemanie umowy o pracę, a jak szef chce, to niech idzie do sądu i dowodzi, że nie umowa, tylko kontrakt cywilnoprawny. Rzadko się zdarza, żeby minister w liberalnym rządzie stanął po stronie ludzi pracy, ale się zdarzyło. Już to powinno dać premierowi do myślenia.

Wierzę, że już wkrótce związki zawodowe upomną się o spotkanie z premierem i nie będzie już mógł twierdzić, że lud chce tyrać na firmę, którą uważa za swoją rodzinę, a praw pracowniczych nie chce.

O tym, jak bardzo odklejona bywa władza liberałów, niech świadczy scena sprzed trzydziestu kilku lat. Leszek Balcerowicz, ówczesny wicepremier i minister finansów, spotkał się z kilkuset przedstawicielami rad pracowniczych (które wkrótce potem zlikwidował) i komisji zakładowych Solidarności. Jeden z robotników zapytał go, kto i dlaczego wymyślił, że wszystkie zakłady mają być prywatne? Wtedy Balcerowicz zrobił się purpurowy ze złości i odpowiedział pytaniem: Komu jest teraz gorzej? Wszyscy obecni pracownicy podnieśli ręce. To było ostatnie spotkanie liberałów z ludem.

PIOTR IKONOWICZ

Oczy przecieram, kiedy czytam: „Zarówno globalizacja, jak i demokracja liberalna nie są dane na zawsze". Na tych dwóch filarach został zbudowany dobrobyt świata zachodniego, ale „produktem ubocznym", zwłaszcza ostatnich 30 lat, był wzrost potęgi Chin. Mówiąc wprost, globalizacja nigdy nie była ewangelią, misją humanitarną Waszyngtonu. Była systemem, który się Ameryce opłacał. Dziś w zmienionych warunkach globalnej konkurencji taki model już się nie kalkuluje. I dlatego ulega zmianie.

Benevolent hegemony (życzliwa hegemonia) dobiega końca. Zasadniczym celem opublikowanej niedawno Narodowej Strategii Bezpieczeństwa USA (NSS) jest zmniejszenie obciążeń wynikających z rozległej obecności amerykańskich sił w trzech teatrach geostrategicznych jednocześnie (Indo-Pacyfik, Bliski Wschód, Europa), podporządkowanie polityki zagranicznej priorytetom wewnętrznym (America First) oraz utrzymanie władzy innymi metodami: opierając się na przewadze technologicznej i finansowej. Nowe reguły będą bazować na – jak to określa strategia – równowadze, wzajemności i sprawiedliwości. Innymi słowy to koniec ery „globalnego policjanta".

Przecieram oczy, kiedy czytam, że szczególną kwestią pozostaje rosyjskie zagrożenie i dalszy przebieg wojny na Ukrainie. W dokumencie pojawia się postulat „przywrócenia stabilności strategicznej z Rosją". To, co z perspektywy NSS – podporządkowanej logice rywalizacji USA–Chiny – może wydawać się uporządkowaniem priorytetów, z perspektywy Polski i Europy jest trudne i rodzi pytania. Rosja nie jest i nie będzie parterem, na którym można oprzeć jakikolwiek trwały układ. To państwo, którego przewidywalność zasadza się wyłącznie na przemocy, autorytaryzmie i imperialnych ambicjach.

Przecieram oczy moje, bo opinie, z którymi niekiedy się zgadzam, napisał nie lewicowy komentator, lecz Mateusz Morawiecki. Polski premier w rządach PiS w latach 2017–2023. Dziś poseł opozycyjnego PiS. Przywódca frakcji „harcerzy" w partii prezesa Kaczyńskiego. Aspirujący do funkcji premiera w prawicowym gabinecie cieni.

Manifest „harcerzy"

Słowa, które cytuję, poseł Morawiecki pisał pod koniec grudnia zeszłego roku. Jeszcze przed napadem wojsk USA na Wenezuelę, powszechnie teraz krytykowanym na świecie. A także przed złożoną na początku roku deklaracją prezesa Kaczyńskiego, że kandydatem jego prawicy na przyszłego premiera powinien być

Za, a nawet przeciw

DSA po polsku, czyli śliski parkiet cenzury

9 stycznia Karol Nawrocki w trosce o szeroko pojętą wolność słowa zawetował ustawę dostosowującą polskie przepisy do unijnego Aktu o usługach cyfrowych (ang. Digital Services Act, DSA). Politycy koalicji 15 października grzmią o wetowaniu bezpieczeństwa w internecie. Tymczasem problem z ustawą o DSA jest pogrzebany zupełnie gdzie indziej.

Sieć niebezpieczeństw

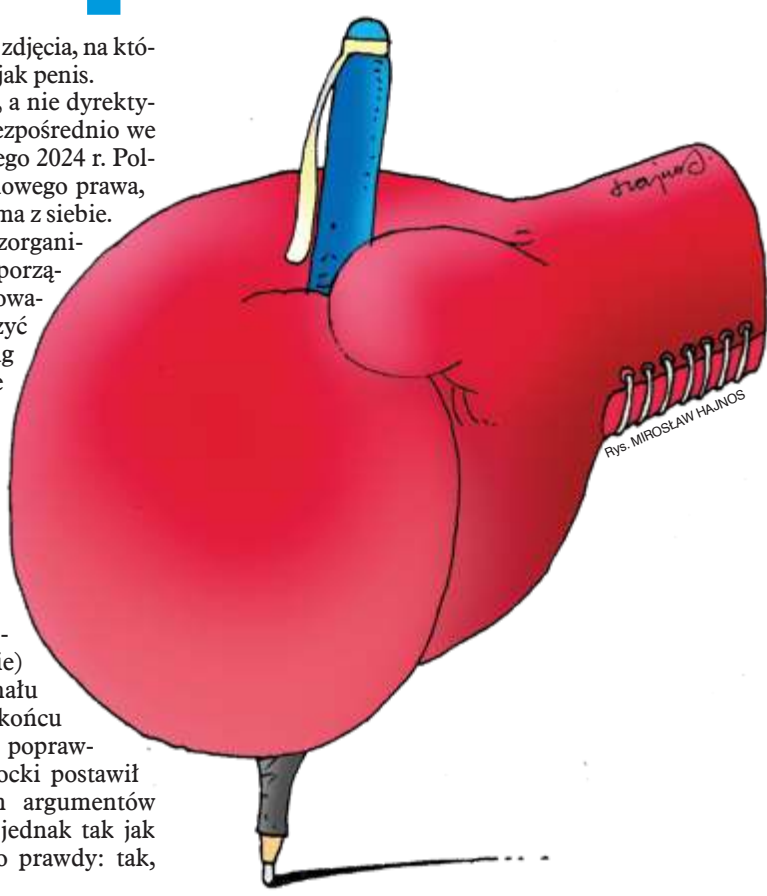
DSA, potocznie zwany konstytucją internetu, to pierwsza na świecie kompleksowa regulacja, która nakłada na firmy cyfrowe (wyszukiwarki internetowe, sieci społecznościowe, platformy internetowe etc.) odpowiedzialność za treści i zachowania ich użytkowników. Głównym celem Aktu o usługach cyfrowych jest stworzenie warunków bezpiecznego, przewidywalnego i budzącego zaufanie środowiska internetowego, w którym skutecznie chronione są prawa zapisane w Karcie praw podstawowych UE. Mówiąc bardziej obrazowo, Unia Europejska stworzyła system, który ma zapobiec dymaniu obywateli przez internetowych oszustów, walczyć z cyberprzemocą oraz ułatwić uwalenie handlu narkotykami i treściami pedofilskimi czy nawoływania do terroryzmu. Co więcej, regulacja wymaga pełnej transparentności reklam (kto płaci, na jakiej podstawie odbywa się targetowanie) i zakazuje kierowania reklam do dzieci.

DSA dotyczy wszystkich pośredników internetowych oferujących usługi w UE, nawet jeśli firma ma siedzibę poza Unią.

Bruksela ze szczególną czułością śledzi pod tym kątem internetowych gigantów jak: Instagram, Facebook, X, Google czy TikTok, które systematycznie pokazują środkowy palec, kiedy naruszają przepisy Aktu o usługach cyfrowych bądź spuszczają po brzytwie wymóg usuwania nielegalnych treści.

Firmie Meta (właścicielowi Fejsa i Instagrama) grozi kara wysokości 6 proc. globalnego przychodu (ok. 10 mld dol.) za utrudnianie zgłaszania internetowego ścieku i brak skutecznego mechanizmu odwołań od decyzji moderacji. Przekładając z prawniczego na nasze: trudno doprosić się usunięcia filmu z katowaniem kotka albo lewej reklamy kryptowalut z wygenerowanym przez AI Tuskiem, ale nie można odwołać się od decyzji zablokowania konta po publikacji zdjęcia, na którym zgięty łokieć wygląda trochę jak penis.

DSA to unijne rozporządzenie, a nie dyrektywa. To oznacza, że obowiązuje bezpośrednio we wszystkich krajach UE od 17 lutego 2024 r. Polska nie musiała zatem tworzyć nowego prawa, bo większość przepisów działa sama z siebie. Została jednak zobowiązana do zorganizowania kilku spraw, żeby rozporządzenie mogło być realnie egzekwowane. Co należało zrobić? Wyznaczyć krajowego koordynatora ds. usług cyfrowych, utworzyć krajowe ramy kar za naruszenie DSA (UE zostawia państwom ustalenie ich wysokości dla mniejszych platform), wreszcie zapewnić procedury administracyjne i odwoławcze. Polska miała wykonać wszystkie te ruchy do lutego 2024 r., ale wyszło jak zwykle, co zaowocowało serią ponagleń Komisji Europejskiej i (tradycyjnie) skierowaniem sprawy do Trybunału Sprawiedliwości UE. Kiedy w końcu ustawa powstała, a sejm przyjął poprawki senatu do dokumentu, Nawrocki postawił weto. Większość prezydenckich argumentów można spuścić z nurtem Wisły, jednak tak jak w każdym kłamstwie jest ziarno prawdy: tak,



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl 36974e8f88

Ewangelia według Mateusza

GADMAN

Jak Pinokio został technopatriotą

Jeszcze niedawno poseł Morawiecki był banksterem na pensji i premiach zagranicznego kapitału. Teraz jawi się patriotą polskiego kapitału i to w wersji turbo.

„młody polityk”, jeszcze nie zgrany. Czyli ktoś z frakcji „maślarzy” konkurencyjnej wobec morawieckich „harcerzy”. Pomimo tego polityczne propozycje Morawieckiego jeszcze bardziej zyskały na aktualności. Słowa i propozycje ubrane zostały w formę manifestu politycznego. Zatytułowanego „Mniej hurraoptymizmu, więcej technopatriotyzmu”.

Swój manifest poseł PiS Morawiecki opublikował na łamach „Dziennika Gazety Prawnej”. Pisma dbającego o rzetelność swej marki. O lekkim zabarwieniu prawicowym i konserwatywnym, ale zapraszającym na swe łamy autorów o różnych poglądach oraz poważnych polityków wszystkich orientacji politycznej. Ale odcinającym się od identyfikacji z działającymi w Polsce partiami politycznymi.

Publikując tam manifest, poseł Morawiecki liczył zapewne, że zostanie on wnikliwie przeczytany przez polityków prezydenckiego pałacu, technokratycznych konfederatów i przede wszystkim prawicowych koalicjantów w rządzie Donalda Tuska. A także konserwatywnego grona parlamentarzystów Koalicji Obywatelskiej. Bo zaproponowana tam oferta współpracy politycznej wyrasta ponad obecną skłóconą Zjednoczoną Prawicę.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Co robić?

„Jednym z najważniejszych wyzwań dla Polski w najbliższym czasie jest oswojenie samotności strategicznej. Nie chodzi o podważanie sensu sojuszy, ale świadomość, że nie wszystkie nasze interesy są tożsame z interesami sprzymierzeńców i że własny rachunek strategiczny trzeba prowadzić samodzielnie”.

Ale zawsze w takich przypadkach wraca klasyczne leninowskie pytanie: co robić? Były, i może przyszły, premier nie uchyla się od niego: „Co więc powinna zrobić Polska? Relacje transatlantyckie zmieniają warunki, ale nie zmieniają swego strategicznego znaczenia. W obecnej sytuacji wyłania się kilka obszarów, w obrębie których możemy skutecznie lewarować naszą geostrategiczną pozycję. Obserwujemy bowiem, powtórzę, koniec naiwnej globalizacji i świt nowego regionalizmu. (…)W świecie, w którym trzeba szukać nisz i obszarów specjalizacji, Polska dysponuje zasobami, które może rozwinąć w spójny infrastrukturalny ekosystem: od CPK poprzez porty po wielowarstwową infrastrukturę cargo – zaczynając od LNG, kolei i logistyki internetowej, a kończąc na hubach przeładunkowych obsługujących handel Północ–Południe. To układ, który pozwala budować efekt skali i tworzyć wysoką rentowność i regionalną marżę – zarówno gospodarczą, jak i geostrategiczną. Polska może – a skoro może, to w obecnej sytuacji musi – stać się multisektorowym hubem regionu, bramą nowej Europy”.

Mówiąc prościej, polskie elity polityczne powinny wykorzystać geograficzne położenie naszego państwa i zarabiać na przewozach surowców i towarów wytworzonych przez innych.

Tym razem były premier nie obiecuje Polakom miliona polskich samochodów elektrycznych, floty polskich promów morskich, taboru polskich lukstorped, produkcji polskich wyrobów pod polskimi dumnymi markami. Przewidując przyszłą krytykę propozycji redukowania polskiej gospodarki do roli usługodawcy, Morawiecki broni się przez publicystyczny atak: „Czas zdjąć z piedestału naiwną narrację o »dwudziestej gospodarce świata«. To dobra opowieść ku pokrzepieniu serc, ale słaba diagnoza. Owszem, cieszmy się przez chwilę tym sukcesem ostatnich 36 lat, ale miejmy też świadomość zaszytej w nim słabości. PKB mierzy przepływ, nie zasób, nie majątek, nie know-how, nie technologie. Tymczasem o realnej sile gospodarczej państwa decyduje przede wszystkim »stock«: kapitał, technologia i zdolność do przechwytywania zysków, generowania marży. Na «flow« naszej dwudziestej gospodarki świata zarabia całkiem sporo zagraniczny kapitał, a w mniejszym stopniu polskie firmy. Więcej środków z Polski wypływa, niż do niej wraca. Potrzebujemy zatem mniej hurraoptymizmu, a więcej technopatriotyzmu: mniej abstrakcyjnych celów, w tym odrealnionych celów klimatycznych, a więcej konkretnych misji technologicznych i gospodarczych”.

Kiedy czytam tak radykalną krytykę mierzenia jakości gospodarki jedynie metodą PKB dokonaną teraz przez Morawieckiego, jestem pod wrażeniem przemiany jego poglądów. Czyżby przed świętami naczytał się Kołodki albo Klementewicza?

Zgoda, zgoda

Niestety, nie można zarabiać na cudzych wojnach, kiedy ma się permanentną polityczną wojnę domową. Dlatego promotor militaryzacji polskiej gospodarki poseł Morawiecki wieszczy i przestrzega: „Tymczasem obecny rząd ugrzązł w stanie trwałej niewydolności strategicznej. Rok 2026 może być ostatnim momentem, by ten deficyt nadrobić. Wiąże się to z trudnymi decyzjami – w energetyce, w przemyśle. A ponadto żadna strategia się nie powiedzie, jeśli Polska pozostanie wewnątrz pęknięta. Polaryzacja paraliżuje instytucje i osłabia zdolność działania. Musimy zdobyć się na minimum zgody wokół spraw najważniejszych – bezpieczeństwa czy polityki energetycznej”.

Trzeba przyznać, że Mateusz Morawiecki ma szczególną intuicję. Zawsze wie, gdzie trzeba być, co mówić, aby karierę robić i dodatkowo wspaniale zarobić. Teraz stawia na zbrojeniówkę, zgodę narodową i technopatriotyzm.

Według ostatnich badań IBRiS aż 87 proc. polskich obywateli chce współpracy prezydenta z premierem w sprawach polityki zagranicznej. Czuły na nastroje społeczne Morawiecki proponuje prawicowej klasie politycznej atrakcyjny deal: pogódźmy się, wspólnie zarabiajmy na zbrojeniach. Ponad partyjnymi podziałami. A przed wyborami skasujmy dziaderowskich hurraoptymistów. Cała władza w ręce technopatriotów!

PIOTR GADZINOWSKI

---

w ustawie znalazł się babol, który Nawrocki mniej lub bardziej świadomie wyłuskał.

Nie tylko róż

Prezydent w uzasadnieniu do weta podkreślił, że choć intencje ustawodawcy były słuszne, to w trakcie procesu legislacyjnego do projektu wprowadzono zapisy budzące jego zastrzeżenia. Według Nawrockiego, skoro w art. 54 konstytucji zapisano, że „każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów”, to państwo nie powinno tej wolności ograniczać. Owszem, tyle że zgodnie z zawetowaną ustawą pod pojęciem „nielegalnych treści” kryją się te, które naruszają obowiązujące w Polsce prawo, w tym przede wszystkim kodeks karny. To m.in. podszywanie się pod inną osobę, oszustwa, wspomniane treści pedofilskie czy nawoływanie do nienawiści na tle narodowym, etnicznym, rasowym lub religijnym. Katalog wyskoków, które stanowiłyby przesłankę do decyzji o zablokowaniu i usunięciu treści zawierał też groźby karalne i nakłanianie do samobójstwa.

Rozporządzenie to miecz obosieczny – umożliwia nie tylko nałożenie na platformy internetowe większej odpowiedzialności za treści zamieszczane przez ich użytkowników, ale przy okazji oferuje mechanizmy chroniące prawa internautów. Serwisy musiałyby uzasadniać decyzje o usunięciu konta, a użytkownicy zyskaliby możliwość łatwiejszego odwołania się od takich decyzji online. Miałoby to ograniczyć nierzadkie przypadki nieuzasadnionego blokowania i banowania kont. Ponadto DSA wymaga od platform społecznościowych, aby egzekwowały własne regulaminy i np. nie dopuszczały do korzystania ze swoich usług smarków poniżej 13. roku życia.

Jednocześnie sprzeciw głowy państwa sprowokowały zapisy, które – jak ocenił – „przekazywały kontrolę nad treściami w internecie urzędnikom podległym rządowi, a nie niezależnym sądom”. Nakaz podjęcia działań przeciwko nielegalnym treściom mieli wydawać: w przypadku platform wideo – przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji (KRRiT), w pozostałych przypadkach – prezes Urzędu Komunikacji Elektronicznej (UKE). Nawrocki stwierdził, że rozwiązanie, w którym prezes UKE miałby decydować o tym, co w sieci blokować, przypomina system cenzury opisany przez George’a Orwella w książce „Rok 1984”. To nazbyt daleko idąca interpretacja, choć trop prawie trafny.

Z każdej strony dupa

Koordynator ds. usług cyfrowych to (w myśl unijnych przepisów) niezależny organ odpowiedzialny za nadzór, stosowanie i egzekwowanie DSA na poziomie krajowym. Kłopot w tym, że zarówno prezesowi UKE, jak i prezes KRRiT można śmiało przyczepić łatę braku niezależności. Co więcej, KRRiT jest powszechnie postrzegana jako silnie upolitycznione instytucja – i w raportach UE, i w opiniach organizacji międzynarodowych. Raporty Komisji Europejskiej (np. Country Reports z lat 2020–2025) oraz Parlament Europejski wielokrotnie wskazywały, że sposób powoływania członków KRRiT (przez sejm, senat i prezydenta) nie zapewnia wystarczającej niezależności od wpływów politycznych. Organizacje takie jak m.in. International Press Institute czy Media Freedom Rapid Response opisywały KRRiT jako narzędzie politycznej kontroli nad mediami w okresie rządów PiS w latach 2015–2023, ale po zmianie rządów problem nie wyparował. Obecny skład Rady został powołany w 2022 r., a jego kadencja formalnie powinna upłynąć jesienią 2028 r. W sierpniu 2024 r. sejm i senat odrzuciły sprawozdanie KRRiT za 2023 r., co mogło spowodować wcześniejsze wygaśnięcie kadencji cielca z pisowskiego nadania, ale ówczesny prezydent Duda odrzucenia sprawozdania nie zatwierdził, co uniemożliwiło przedwczesną aborcję organu. Identyczny manewr powtórzono w roku 2025. Tym razem KRRiT uratował Nawrocki. Rząd Tuska pracuje nad reformą, która ma m.in. odpolitycznić KRRiT, ale prawdopodobnie i ona wpadnie pod prezydencki wetomat. Wskutek tego jeszcze przez dwa lata nad mediami będzie śmigał pisowski bat, a to mało przyjemna perspektywa.

Zgodnie z art. 145 ust. 1 prawa komunikacji elektronicznej prezesa UKE powołuje i odwołuje sejm na wniosek premiera. Obecny, Przemysław Kuna, został powołany we wrześniu 2025 r. stosunkiem głosów 219 za, 191 przeciw. Tusk wybrał jego kandydaturę w otwartym konkursie.

Mechanizm powoływania prezesa UKE jest zatem polityczny i teoretycznie daje podobne pole do zarzutów braku niezależności jak w KRRiT, bo jest to osoba wybrana przez układ rządzący.

Bagno

Na ryzyko nadużyć koordynatora ds. usług cyfrowych zwrócił uwagę rzecznik praw obywatelskich, choć słowa „cenzura” nie użył. Prawo do złożenia wniosku o wydanie nakazu podjęcia działań wobec nielegalnych treści miały otrzymać prokuratura, policja, organ Krajowej Administracji Skarbowej, osoby uprawnione z tytułu praw autorskich oraz wszyscy usługobiorcy. Zgodnie z zapisami ustawy wnioski miały rozpatrywać osoby, które nie należą do partii ani nie prowadzą żadnej innej działalności publicznej, co brzmi, delikatnie mówiąc, naiwnie. Z listy w toku procedowania zniknęły zaufane podmioty sygnalizujące. Mimo to Karol Nawrocki jako jeden z powodów do uwalenia ustawy wskazał, że ukryto w niej możliwość finansowania tychże celem zgłaszania „nieprawomyślnych poglądów”. Prezydent nieco się przejechał z blokowaniem treści przez prezesa UKE. Senat w najważniejszej z naniesionych poprawek usunął rygor natychmiastowej wykonalności decyzji prezesa UKE o blokowaniu treści, dodając możliwość jej zaskarżenia do sądu powszechnego. Dzięki temu zabiegowi kontrowersyjne materiały pozostawałyby na platformie do czasu rozpatrzenia sprawy. W ocenie głowy państwa zaproponowane w ustawie procedury odwoławcze – w tym 14-dniowy termin na złożenie sprzeciwu wobec decyzji urzędnika – są niewystarczające i nie gwarantują realnej kontroli sądowej.

Sejm może odrzucić weto prezydenta. Potrzebna jest do tego większość 3/5 głosów wszystkich posłów w obecności co najmniej połowy ich ustawowej liczby. Brak wdrożenia DSA może pociągnąć za sobą wielomilionowe kary od Unii Europejskiej, ale przeciąganie sprawy z pewnością opłaca się prezydentowi. Przepisy unijne najczęściej ujmuje się jako pomoc w walce z dezinformacją, co bywa wykorzystywane jako powód usuwania treści. Niestety, w polskim prawie nie istnieje definicja tego pojęcia, co stwarza ryzyko nadużyć ze strony samych platform technologicznych i urzędników. O politykach wszystkich opcji nie wspominając.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 36974e8f88

To on

Stare śmiecie w Belwederze



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Gdy wybory prezydenckie wygrał Karol Nawrocki, komentatorzy wieszczyli, że jeszcze zatęsknimy za Andrzejem Dudą. Nikt nie tęskni, ale były prezydent nie daje o sobie zapomnieć – i to nie jest dobre ani dla niego, ani dla nas. Kończąc drugą kadencję, Duda wyprowadzał się z pałacu prezydenckiego z autobiografią pod pachą. Książka „To ja" dystrybuowana była od początku przez specjalną stronę internetową. Wiekopomne dzieło można nadal zamówić w dwóch wersjach: normalnej za 99 zł i luksusowej – w pudełku i z autografem – za 159 zł. Ceni się chłopina tak, jak nikt go nie cenił. Spodziewał się zapewne olbrzymiego zainteresowania i sporej premii finansowej na nową drogę życia, ale chyba coś nie wyszło.

Adrian Zapomniany

Były prezydent zapewniał, że będzie handlował tylko przez tę stronę internetową, i słowa nie dotrzymał. Zawetował sam siebie. Sprzedając samodzielnie, Duda zgarnia cały hajs, bo pomija marże wydawnictwa, dystrybutorów i sklepów. Płaci tylko za druk. Ale zainteresowanie musiało być tak nikłe, że w końcu książka trafiła pod strzechy – nawet do sieci sklepów z owadem w nazwie. Prestiż jak chuj. Śmieją się z niego nawet pisowcy, wrzucając ironiczne posty do mediów społecznościowych z książką między patelniami i zupkami chińskimi. Nikt się już Dudy nie boi (o ile bał kiedykolwiek), nie szanuje, coraz mniej go w ogóle pamięta.

Andrzej Duda – jak każdy porządny pisarz – ruszył ze swoją autobiografią w trasę autorską. Świetnie się sprawdził jako atrakcja domów kultury i bibliotek, przerywnik między spotkaniami z lokalnymi poetami, kombatantami i występami kabaretów. Obwoźny handel zapewnił mu kolejne parę groszy. Ze sprzedaży bezpośredniej znowu cała kasa w kieszeń i jeszcze obiad postawią. Dopóki żył w pałacu prezydenckim, wszystko miał podstawione pod nos, za nic nie płacił, a z pensji mógł odłożyć. Gdy kontrakt wygasł, wszystko szlag trafił, a pierwsza dotychczas osoba w państwie stała się szarym obywatelem z rozpoznawalną wprawdzie mordą, ale bez nadzwyczajnych profitów z tego płynących. Emeryturka i trochę na prowadzenie biura – dla przeciętnego Polaka to luksusy, ale Duda jest przecież nieprzeciętny. Rozpoczęła się rozpaczliwa batalia o życie na poziomie, do którego przywykł. To sprowadziło go na manowce dziwnych spółek finansowych (gdzie w radzie nadzorczej robi za paprotkę z imponującym CV) czy mediów w rodzaju Kanału Zero, do którego miał przyciągnąć widzów (nie przyciągnął). Dyskusja co do uposażenia i zagospodarowania emerytowanych głów państwa trwa, ale nadal nie doszliśmy do wniosków, jak powstrzymać eksprezydentów przed błazenadą.

Comeback

8 stycznia był dla Dudy wielkim dniem. Na chwilę wrócił na salony i do zbiorowej wyobraźni. Jego następca zorganizował mu w Belwederze spotkanie autorskie. Szumnie nazwano to na oficjalnej stronie „Debatą Prezydenta RP Karola Nawrockiego z Andrzejem Dudą", ale wiadomo, o co chodzi. Zresztą sam aktualny gospodarz miejsca stwierdził, że spotkali się, by promować książkę. Potem raczył dodać, że sam wprawdzie nie przeczytał – utknął na 130. stronie – bo wezwały go poważne sprawy, ale innym poleca. Co więcej, sam zapewne napisze swoją – doświadczenie już ma. W społeczeństwie słyszalny był pomruk niezadowolenia, że panowie urządzają sobie komercyjną prywatę za pieniądze podatnika, ale kto by się takimi drobnostkami przejmował. Duda jest przyzwyczajony do traktowania publicznych obiektów jak własne. Wspomnijmy choćby ślub, który urządził swojej córce w pałacu prezydenckim.

Wyzłośliwił się na Facebooku prof. Antoni Dudek, ipeenowski rywal Nawrockiego i nieprzejednany krytyk jego kandydatury, a teraz prezydentury. „Ruszył WOWD – Wielka Orkiestra Wspierania Dudy! W zbiórkę środków na poprawę położenia byłego prezydenta, organizowaną za pośrednictwem sprzedaży jego przełomowych wspomnień, zaangażował się obecny prezydent oraz liczne media, w tym jak widać poniżej także słynąca z sympatii dla obu »mężów stanu« stacja TVN 24. A czy Ty spełniłeś/łaś już swój obywatelski obowiązek i kupiłeś/łaś książkę eksprezydenta, którą dziś – słowami chwytającymi za serce każdego prawdziwego Polaka – promował osobiście nasz obecny prezydent?!" – napisał historyk, zaczepiając, kogo tylko zdołał. Wtórował mu dziennikarz Patryk Michalski, wyłapując inne niuanse imprezy: „Widzę, że Małgorzata Manowska, sprawująca funkcję Pierwszej Prezes Sądu Najwyższego, uznała, że wypada jej brać udział w spotkaniu autorskim Andrzeja Dudy u Karola Nawrockiego w Belwederze. Kolejny przykład dbałości o standardy profesor przyjaźniącej się z Andrzejem Dudą. Według komunikatu Kancelarii Prezydenta obsługę medialną na spotkaniu zapewniali WYŁĄCZNIE fotoreporterzy. Stąd wniosek, że przedstawiciele prawicowych mediów na wydarzeniu występowali w innej roli".

Kontrast

Zapraszając do Belwederu swojego poprzednika, Nawrocki nic nie ryzykował. Na tle „Długopisa" ciężko źle wypaść i nawet zwolennicy PiS widzą przepaść między Dudą zgrywającym twardziela a Nawrockim, któremu to przychodzi naturalnie. Więcej ryzykował „Adrian", pojawiając się u boku następcy, ale galicyjska natura centusia i wybujałe ego wzięły górę nad godnością, honorem czy zwyczajnym instynktem samozachowawczym. Po Dudzie jednak nie widać kompleksów. Nic się nie zmienił. Zazwyczaj politycy na emeryturze stają się dużo bardziej interesujący, bo mogą mówić szczerzej, a niektórzy nawet mądrzej. Ale to nie ten przypadek. Duda pozostał sobą z pałacu. Jest dumny ze swoich osiągnięć, zwłaszcza na polu ukraińskim oraz z „przyjaźni" z Trumpem.

Ba, on się czuje jednym z ojców zwycięstwa Karola Nawrockiego. Zarówno podczas spotkań autorskich, jak i w książce wspomina niebagatelną rolę, jaką odegrał w kampanii. Tak to opisuje w „To ja": „Pięć tygodni przed wyborami zdecydowałem, że wystąpię na konwencji Karola Nawrockiego w Łodzi. Stanąłem na scenie i przypomniały mi się moje konwencje, moje kampanie. Ludzie byli wzruszeni, ja także. Mówiłem, że Polsce jest potrzebny prezydent, który zadba o silne państwo – o to, by zwyciężała w nim uczciwość, a nie cynizm i draństwo". Niestety, Polacy nie posłuchali Dudy i wybrali Nawrockiego. Ten zaś nie zrozumiał swego poprzednika i zamiast o silne państwo, dba głównie o własną siłę fizyczną. Już po wygranej Andrzej wprowadzał swojego protegowanego na urząd z poczuciem spełnienia i dobrze wykonanej roboty. „Miałem poczucie że Polacy dopisali do mojej historii właściwą puentę" – czytamy w książce Dudy. Rzeczywiście, to dobra puenta do jego historii, ale zła dla przyszłości Polski.

Trylogia

Samo spotkanie autorskie w Belwederze to dość skomplikowana układanka literacko-personalna. Przed publicznością wystąpiły trzy osoby: dwóch prezydentów i jeden prowadzący. Ale gdyby liczyć osoby pisarskie, to czterech: Andrzej Duda, Karol Nawrocki, Maciej Zdziarski i Tadeusz Batyr. Sprawa się gmatwa, gdy okazuje się, że prowadzący wieczorek literacki w Belwederze Maciej Zdziarski „współpracował z byłym prezydentem podczas pisania książki" – czyli jest jej ghostwriterem. Od wieków wielcy ludzie dyktowali swoje wspomnienia i przemyślenia skrybom. Pisanie z ruchadłem leśnym na Twitterze to nie to samo co napisanie książki. Tu trzeba specjalisty.

Mamy zatem Dudę, który nie napisał swojej książki, Zdziarskiego piszącego pod pseudonimem „Andrzej Duda" oraz Nawrockiego piszącego jako „Tadeusz Batyr". I weź wytłumacz obcokrajowcowi, kto jest kim w Polsce.

Łatwiej było nawet wtedy, gdy jeden Kaczyński był prezydentem, a drugi premierem.

Czegoś wszelako na tym spotkaniu zabrakło, czujemy niedosyt. „To ja" nie jest przecież jedyną publikacją książkową poświęconą Dudzie. Jest „Kandydat" Jakuba Żulczyka – ale to literatura piękna, można pominąć, choć autorowi należy oddać, że wprowadził do obiegu przezwisko, które przylgnęło do eksprezydenta. Co zaś do literatury faktu, to na rynku są także: „Duduś" Jacka Gądka oraz „Debil" Aleksandry Sarny (tytuł z inspiracji Żulczyka). Kancelaria mogła zadbać o pluralizm i szersze spojrzenie na postać byłego prezydenta. Ustawiona w rzędzie trylogia: „To ja", „Duduś" i „Debil" wyglądałaby malowniczo, a przy okazji więcej mówiłaby o tej prezydenturze niż jakiekolwiek debaty.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

WIEŚCI GMINNE i INNE

Do Komendy Powiatowej w Lidzbarku Warmińskim zgłosiła się kobieta, która przywiozła znalezione przy drodze zwierzę, przekonana, że jest to pies. Zaniepokojona niską temperaturą zabrała czworonoga do samochodu i postanowiła szukać pomocy na policji. Nie wydaje się to logiczne, ale trudno. Na miejscu okazało się, że pod siedzeniem auta nie znajduje się pies, lecz jenot. Widzieliście kiedyś jenota? Nie? My również nie. Na komendę wezwano strażaków, którzy bezpiecznie wydobyli zwierzę z pojazdu. Słusznie. Wydobycie jenota spod siedzenia to nie robota dla policjantów. Gdyby był to pies, to co innego. Po konsultacji z powiatowym lekarzem weterynarii jenot został wypuszczony do pobliskiego lasu. Żeby tylko nie spotkał się ponownie z jakąś kobietą, bo historia lubi się powtarzać.

W Nowogardzie w jednym z radiowozów znaleziono młynek do marihuany. Komendant zareagował jak na odkrycie uranu: zarządził obowiązkowe testy narkotykowe dla wszystkich funkcjonariuszy łącznie z tymi na urlopach. Komenda Wojewódzka w Szczecinie powiadomiona, prokuratura też. Wszyscy, którzy mieli kontakt z radiowozem, zostali przebadani. Jak ogłosił podkomisarz Paweł Grzelak z goleniowskiej policji, wyniki wszystkich były negatywne. Komendant testów nie przeszedł, bo – jak podkreślono – z radiowozem styczności nie miał. Młynek trafi do akt jako dowód rzeczowy numer 1: przedmiot nieużywany przez nikogo. Morał: W radiowozach nie wolno wozić młynków.

46-letni uciekinier od polskiego listu gończego wpadł „na chwilę" do kraju jakby po chleb i ogórki. Wsiadł w Forda, wlał w siebie co trzeba, a w auto – czego nie trzeba. Nawalony jak stodoła pomylił paliwa: zamiast oleju napędowego w zbiorniku wylądowała etylina, bo tańsza, a „przecież się wymiesza". Samochód rozkraczył się na A4 pod Grodkowem przy minus ośmiu. Kierowca wysłał konkubinę po pomoc, sam zasnął ze zmęczenia i odpłynął w kierunku hipotermii. Gdyby nie policjanci, którzy go zwinęli spod chłodniczego nieba, byłby dziś w rubryce: „Zamarzł, bo myślenie odmroził wcześniej". Morały dla zmotoryzowanych i poszukiwanych: 1. Diesel nie pije benzyny, nawet jak jest promocja. 2. Przed listem można uciekać za granicę, ale przed głupotą nie ma granicy.



Rys. WIDGET

Policja melduje: w 2025 r. 1164 wypadki z udziałem hulajnóg elektrycznych. O ponad 400 więcej niż rok wcześniej. Zginęło 11 osób, 1062 ranne. Kiedy reszta ruchu drogowego hamuje statystyki, hulajnogi wciskają gaz w śmiertelności. Najmocniej oberwało się młodym: około 70 proc. ofiar to osoby poniżej 17. roku życia. Państwo dorzuciło przepis: do 16. roku życia obowiązkowy kask. Świetnie. Kask ochroni czaszkę, ale nie rozum. Ten dalej biega luzem, kiedy 12-latek mknie 35 km/h po chodniku, bo aplikacja mówi: „nie jedź ostrożnie" i nalicza punkty za drift przy aptece.

Warszawa w święta wywietrzała jak portfel po prezentach. Według danych Orange między 17 a 25 grudnia ze stolicy wyparowało do 782 tys. ludzi. 17 grudnia o 18.00 logowało się 2,174 mln urządzeń; w Wigilię – już tylko 1,417 mln, w Boże Narodzenie – 1,392 mln. Powroty zaczęły się 26 grudnia wieczorem, a przed sylwestrem było znów ok. 2 mln. Normalnie w dzień pracujący przebywa w mieście ok. 2,2 mln osób, nocą spada do 1,9 mln – podaje Orange, jakby ludzie mieli wyłącznie ich kartę SIM. Operator zaznacza, że w liczbach są wszyscy: mieszkańcy, dojeżdżający, turyści, zaginione ciotki i malkontenci. Statystyka jest imponująca, nawet jeśli przeciętny rozsądny Warszawiak twierdzi, że nie zna nikogo z numerem w Orange – a tu proszę, 2 mln duchów w eterze. Wniosek? Albo znajomi są elitarni, albo telefony plebejskie.

Rok 2025 dojechał na metę z klaksonem. Grudzień przyniósł 76 290 rejestracji nowych osobówek i dostawczaków (do 3,5 t) – plus 21,6 proc. w stosunku do grudnia 2024. Bilans rocz-ny aut nowych: samochody osobowe: 597 428 (plus 8,3 proc. rok do roku), osobowe oraz dostawcze razem: 667 578 (plus 7,95 proc. r/r). Podium marek 2025: Toyota – 92 123 szt. (minus 11,27 proc. r/r), Škoda – 65 508 szt. (plus 8,94 proc.), Volkswagen – 42 929 szt. (plus 11,79 proc.).

Eurostat śpiewa kolędę własności: w UE średnio 68 proc. ludzi mieszka na swoim, a 32 proc. wynajmuje. Polska – 86 proc. na swoim. Wyżej tylko Rumunia (94 proc.) i Słowacja (93 proc.). Na dole Niemcy – 47 proc. i Austria – 55 proc. Co to może oznaczać? U nas na swoim znaczy często: na kredycie, u dewelopera, pod hipoteką do emerytury. W papierach – własność, w życiu – subskrypcja mieszkania z opcją wykupu po 30 latach. W krajach „najemnych" elastyczność nie jest zniewagą. Zmieniasz pracę – zmieniasz mieszkanie. Własność jest jak małżeństwo – pięknie wygląda na zdjęciu ślubnym, ale na co dzień wymaga alimentów. Wynajem to romans – droższy, za to bez rozwodu.

Radni Gniezna z zimną krwią postanowili zamknąć dwa miejskie przedszkola. Powód jest bezdyskusyjny: brak dzieci. Statystyki nie pozostawiają złudzeń – zapotrzebowanie na miejsca przedszkolne spada z 2236 w roku szkolnym 2024/2025 do 1668 w roku 2025/2026, a liczba oddziałów kurczy się z 83 do 75. Jeszcze bardziej wymowne są dane demograficzne: liczba urodzeń osunęła się z 623 w 2018 r. do zaledwie 384 w 2024. Gniezno wymiera – za to taniej. Uchwałę podjęto stosunkiem głosów pięć do dwóch przy dwóch wstrzymujących się, być może z braku nadziei. Skutek jest prosty: będzie oszczędniej. Dzieci z wozu, podatnikom lżej. Dlaczego w Gnieźnie więcej ludzi umiera, niż się rodzi – tego szlachetni rajcy miejscy nie uznali za temat wymagający głębszej refleksji.

Problem wysokiego opodatkowania przydomowych obiektów – takich jak szopy, komórki czy altany – choć

eprasa.pl 36974e8f88

ETYKA BEZBOŻNA

Krzyżem przez łeb

Rytuał kozła ofiarnego

Rzecz to niesłychana! Krzyż nasz chrześcijański, krzyż Pański, na którym Pan Jezus umarł w mękach za grzechy i zbawienie wszystkich łajdaków, łącznie z tymi, którzy śmieli w swej zatwardziałości odmówić mu czci, wrzucony do kosza! Jakaż to zbrodniarka poważyła się na to najpotworniejsze świętokradztwo?! Ukamienować! A razem z nią każdego, kto śmie nie rzucić kamieniem!

Lęk przed podzieleniem losu tego, przeciwko komu obrócił się gniew plemienia, leży u podstaw dwóch splecionych ze sobą zjawisk protomoralnych, dwóch przerażających archaizmów plemiennego życia: paniki moralnej i rytuału kozła ofiarnego.

Sprawa nauczycielki, która zlikwidowała zabawkę w kształcie krzyża powieszoną przez dzieci nad klatką chomika, choć sama w sobie jest tylko żenującym qui pro quo, złośliwym psikusem dzieci, które świadomie bądź nie zastawiły pułapkę na dorosłych, okazała się zatrważającą lekcją socjologii. Na oślep, bez sprawdzenia faktów, w panicznym lęku przed oskarżeniem o brak gorliwości w potępieniach bluźnierczyni, wzięli kamienie w ręce wszyscy wokół – od władz oświatowych drobnego płazu aż do ministrów. Cóż za żenada! Wójt zawiadomił prokuraturę, prokurator wszczął śledztwo – ciąg technologiczny represji ruszył. I kto go teraz zatrzyma? Kto przeprosi? Zatrzyma się sam – pewnie w ciągu kilku tygodni, ale żeby przeprosić? O, co to, to nie! „Obrońca krzyża” nigdy nie przeprasza! To wszak poniżej jego krzyżowej godności.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie zdejmie krzyża, by wrzucić go do kosza, i trzeba być idiotą, żeby uwierzyć, że jakaś nauczycielka to zrobiła.

A może wystarczy być poczciwcem zaczadzonym przez absurdalne fantazje o czyhających wszędzie wrogach Kościoła, którzy nienawidzą krzyża?

Pewnie i tacy bywają. Ale czy ludzi gotowych wierzyć we własne urojenia obchodzi jakieś „naprawdę”, jakieś fakty? Wątpię.

W panice moralnej fakty nie mają nic do rzeczy. To wyścig napędzany jedną emocją – lękiem. Lękiem przykrywanym moralną legendą o świętym oburzeniu. Wyścig nie jest do żadnej mety – chodzi tylko o to, by jak najszybciej znaleźć się jak najdalej od nieszczęśnika, który naruszył plemienne tabu i znalazł się na cen-



Rys. OBYWATEL JANEK

zurowanym. Jak najdalej, jak najszybciej, żeby tylko nie być z nim kojarzonym i nie podzielić jego losu.

Panika moralna to wielka ucieczka, wykluczenie winowajcy poprzez wytworzenie wokół niego kręgu pustki. Nawet kamienie rzuca się bez ładu, za siebie, przez ramię. Byle szybko uciec! Wiem doskonale, jak to działa i jak to wygląda. Sam nieraz już stałem w tym pustoszejącym kręgu, patrząc oniemiały na ludzi czmychających jak karaluchy. Zatykają sobie tacy uszy, żeby nie słyszeć o faktach, nie słyszeć, jak było, a tylko wrzeszczą swoje złorzeczenia, których cały sens sprowadza się do błagania, aby ich nie łączyć z tym bluźnierczym wszetecznikiem, który zaraz zostanie ukamienowany. A potem się zatrzymują i robi im się głupio. A jak im jest głupio, to tym bardziej trzymają się z daleka. Trochę z powodu wstydu, że byli takimi podłymi tchórzami, a trochę z powodu pretensji, że ktoś swoim zachowaniem wrobił ich w taką sytuację i obnażył ich moralną nędzę.

Jedyna dobra rzecz, jaka wynika z paniki moralnej, to właśnie ów wstyd i moment refleksji jej aktorów. Może czasami z tego wstydu rodzi się jakaś odwaga cywilna, gotowa ujawnić się przy kolejnej okazji? Chociaż tak naprawdę nie zdarzyło mi się spotkać kogoś, kto otwarcie i publicznie broniłby ofiarę paniki moralnej.

Dzieje się tak dlatego, że bezbronny i porzucony „winowajca” jest doskonałym kandydatem na ofiarę przebłagalną – nadaje się na nią tak dobrze jak stary śmierdzący cap, który swoje już napłodził, mięso ma łykowate, a tylko żre. W sam raz nadaje się, aby na kamiennym ołtarzu oddać go jakiemuś zagniewanemu bóstwu. Pożywiając się mięsem kozła, owo bóstwo zapomni niedawną zniewagę, a syte tego podłego mięsiwa może nawet pójdzie spać i da nam na jakiś czas spokój. Taki jest mniej więcej sens i geneza rytuału kozła ofiarnego. Wszyscy maluczcy, lękając się, że ich bóg podpatrzy ich grzeszki, szukają tylko okazji, by odwrócić od siebie uwagę i skierować ją na kogoś innego. Jak dziecko wołają: „Ja nic nie zrobiłem – to on, to on!”. A gdy kozioł już zostaje zarżnięty, to rozchodzą się z poczuciem ulgi i lekkimi wyrzutami sumienia. Spokojna głowa! Wyrzuty miną po dwóch dniach, bo skoro wszyscy je mają, to tak, jak gdyby nikt ich nie miał. Po prostu nie wspomina się o sprawie i po sprawie! Był człowiek, nie ma człowieka. Ukamienowany. Normalna rzecz. Nie uważał, wychylił się – sam sobie winien.

Takie sprawy jak „afera” z krzyżem rzekomo wrzuconym do kosza przez wiejską nauczycielkę przypominają mi, jak w gruncie rzeczy paskudną istotą jest człowiek. A w dodatku czasy mamy takie, że nawet gdy za ofiarą nagonki ujmie się w gazecie profesor UJ, etyk, to może co najwyżej wzbudzić tym rechot prześladowców. Nauczycielce z Kielna nic to nie pomoże. Pewnie zresztą tego nie przeczyta – chyba że ktoś jej powie. Więc jeśli przeczyta, to chciałbym niniejszym symbolicznie, w zastępstwie jej prześladowców, powiedzieć jej „przepraszam”. Niewiele takie zastępcze przeprosiny znaczą, ale zawsze to więcej niż nic.

JAN HARTMAN

MÓŻDŻEK TYGODNIA


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Krzysztof Bosak, jeden z dwóch liderów Konfederacji, o studiowaniu w Collegium Humanum:

a) nie studiował tam,
b) nie pamięta, czy studiował,
c) pamięta, że jedynie rozważał studia,
d) studiował, ale tylko przez dwa semestry, a w ogóle to nie miał czasu na studia i nie zależało mu na dyplomie.

A jak było naprawdę? Według ustaleń „Gońca” 7 grudnia 2020 r., w dniu, w którym Bosak zaczął studia, spotkał się z ówczesnym rektorem uczelni Pawłem C., teraz podejrzanym o kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą. Nazwisko Bosaka zostało wpisane do systemu uczelni jako studenta pierwszego semestru studiów licencjackich, lecz jeszcze tego samego dnia – bez zdania choćby jednego egzaminu – poseł Konfy został przeniesiony na trzeci semestr.

Jak mu się studiowało? Nijak, ponieważ zamiast niego na uczelnię chodził wyznaczony przez niego człowiek nazwiskiem Warowny. I to Warowny, a nie Bosak, brał udział w zajęciach, składał prace zaliczeniowe i robił wszystko, co studenci zwykli robić na wyższej uczelni.

Jak nazywają się tacy politycy jak Bosak?

a) kłamcy,
b) kombinatorzy,
c) oszuści,
d) gównojady.

Gdzie tacy szalbierze powinni skończyć? W pudle albo w Budapeszcie. Tylko jeśli Bosak wybierze emigrację, to kto się za niego nauczy węgierskiego? Warowny?



Rys. WIDGET

wynika z przepisów obowiązujących od lat, stał się przedmiotem interwencji rzecznika praw obywatelskich. Nie jest to efekt zmiany prawa, lecz zmiany jego rzeczywistych skutków. Ustawa o podatkach i opłatach lokalnych od początku dopuszczała kwalifikowanie tego rodzaju obiektów jako tzw. budynków pozostałych objętych wyższymi stawkami podatku niż budynki mieszkalne. Przez długi czas różnice te miały jednak charakter marginalny. Sytuacja zmieniła się wraz z wysoką inflacją oraz zmianą praktyki samorządów, które – pod rosnącą presją finansową – częściej stosują górne, ustawowo dopuszczalne stawki podatkowe. Połączenie tych czynników doprowadziło do gwałtownego wzrostu obciążeń i fali skarg obywateli. To skłoniło rzecznika do podjęcia interwencji. RPO wskazuje, że tak ukształtowany system opodatkowania narusza konstytucyjne zasady równości i proporcjonalności, a także zakaz nadmiernego fiskalizmu. Wystąpił do Ministerstwa Finansów z wnioskiem o rozważenie zmian ustawowych.

▮ Opinia publiczna każdej śnieżnej zimy z pewnym zdziwieniem odkrywa, że biały puch jest kosztowny – o ile rzeczywiście spada. W Trzebnicy to kilka tysięcy złotych za utrzymanie 430 km dróg, w Chojnicach 260 tys. zł za 20 km, Warszawa wydaje na zimę około 90 mln zł, Kraków – 38 mln. Kto kogo robi w bałwana? Nikt. Po prostu każdy kupuje coś innego. Klucz nie tkwi w śniegu, lecz w umowie. Polska nie ma jednego cennika na zimę. Funkcjonują dwa podstawowe modele. Pierwszy to gotowość: płaci się za to, żeby pług nie spał. Sprzęt, ludzie i sól pozostają w stałej gotowości, nawet jeśli zima okaże się bardziej tropikalna niż arktyczna. Duże miasta chętnie wybierają ten wariant, woląc zapłacić za pewność niż oglądać poranny curling kierowców na skrzyżowaniach. Drugi to model za usługę: nie pada – nie płacimy; pada – płacimy i to słono. Ryzyko utrzymania gotowości bierze na siebie wykonawca. Małe gminy często decydują się na ten sport ekstremalny: jest tanio, dopóki aura nie wpadnie w szał.

▮ 7 stycznia Polska wciągnęła w płuca ponad 93,5 mln m sześc. gazu – najwięcej w swojej tysiącletniej historii (licząc od Mieszka, który grzał się raczej dymem). Poprzedni rekord z 18 stycznia 2021 r. – 88 mln m sześc. – poszedł w siną dal razem z parą znad czajnika. Winny: siarczysty mróz, który ma nas trzymać za gardło co najmniej do końca stycznia. Eksperci, w tym Tomasz Włodek z Akademii Górniczo-Hutniczej, prognozują, że licznik dopiero się rozkręca. Teraz sedno: magazyny mamy nabite w 79 proc. To czołówka Unii, gdzie średnia zaledwie ciut ponad 58 proc. I jeszcze sprawa delikatna, nie jest to gaz od wschodniego sąsiada, bo Nord Stream 2 został wysadzony w powietrze pod wodami Bałtyku przez naszych ukraińskich przyjaciół, co zdaniem polskiego sądu było godne i sprawiedliwe, słusznie i zbawienne. Gazujmy się zatem bez obrzydzenia.

▮ Od lutego mieszkańcy Konina oraz czterech powiatów wschodniej Wielkopolski będą mogli bezpłatnie uczyć się języka chińskiego. Kursy organizuje Akademia Nauk Stosowanych w Koninie w związku z planowaną ofensywą gospodarczą Państwa Środka w regionie. Zajęcia finansuje Fundusz na rzecz Sprawiedliwej Transformacji. Słusznie, podwójnie słusznie. Nie róbmy powtórki sprzed 250 lat, kiedy najpierw wchodzili zaborcy, a dopiero potem uczyli nas niemieckiego germanizacją i rosyjskiego rusyfikacją. Wiemy, jak to się skończyło: źle dla wszystkich, zwłaszcza dla nas. Tym razem przygotujmy się jak należy. Lepiej uczyć się cudzego języka z wyboru niż z rozkazu. A jeśli historia ma nas znów zaskoczyć, niech chociaż zrobi to po mandaryńsku.

▮ To może nie jest miejsce na wykład z estetyki publicznej, ale ktoś wreszcie musi powiedzieć rzecz oczywistą: gmina bez porządnego herbu i flagi jest jak wójt bez marynarki. Da się funkcjonować, ale wstyd pokazać się ludziom. Historia zna ustroje, które miały mundury jak z katalogu i sztandary godne opery, a rzeczywistość – jak z magazynu dowodów rzeczowych. Nie o to jednak chodzi. Chodzi o porządek symboliczny, czyli elementarną tożsamość: taką, która nie krzyczy kiczem i nie myli bociana z pelikano-orłem. Tymczasem – według danych Komisji Heraldycznej przy MSWiA – około jednej trzeciej z blisko 2500 gmin w Polsce nadal posługuje się herbami niezgodnymi z przepisami, a niemal połowa nie ma własnej flagi. To nie są tylko obrazki do pieczątek. To język rozpoznawalności: na tablicy wjazdowej, w urzędzie, na autobusie, w szkole i na koszulce strażaka. Znak, który spina gminę w całość i który nie robi wstydu na dożynkach.

▮ Miasto Gdańsk zamówiło najdłuższe tramwaje w Polsce – aż 47-metrowe kolosy, które pomieszczą do 300 pasażerów. Bazowe zamówienie opiewa na 20 sztuk za 500 mln zł. Nowe tramwaje będą dwukierunkowe, co oznacza, że nie trzeba będzie robić pętli ani odprawiać różańca w nadziei, że uda się zawrócić. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wyrażenie „mieć długi jak tramwaj w Gdańsku” ma szansę wejść do języka potocznego.

▮ Smutna wiadomość dla wszystkich rodziców i dzieciaków: Bartek SA, producent obuwia dziecięcego z Mińska Mazowieckiego, oficjalnie zakończył działalność. Sąd ogłosił upadłość spółki, zamykając tym samym rozdział jednej z najbardziej rozpoznawalnych marek na rynku. Od 2019 r. większościowym właścicielem Bartka była Grupa Wojas, ale nawet ona nie zdołała uratować tonącego okrętu. Upadek Bartka to oczywiście wina Jarosława Kaczyńskiego, który nie wie, jak się robi dzieci, a co dopiero buty. Przez osiem lat swojej „dobrej zmiany” niszczył polską przedsiębiorczość, a teraz zbieramy tego gorzkie owoce. Kaczyński, który całe życie spędził na państwowych posadach, uważał, że przedsiębiorcy mają prowadzić biznes tak, jak on to rozumie. A jak ktoś się nie zgadzał, to znaczyło, że się do tego nie nadaje. Bartek się nie nadawał. I teraz dzieciaki będą chodzić w butach od Chińczyków albo Niemców. A Kaczyński będzie sobie siedział na swojej emeryturze i udawał, że nic się nie stało.

RJ

PS Doniesienia pochodzą z prasy lokalnej. Bardzo dobrej prasy lokalnej. Wszyscy mówią, że najlepszej. Oczywiście mogą się tam zdarzyć drobne nieścisłości – każdy o tym wie, to normalne, ludzka rzecz, absolutnie zdrowa omylność, nic wielkiego. Ale jeśli ktoś myśli, że będziemy za to ponosić konsekwencje prawne, to niech zapomni. Nie będziemy. Nigdy.

eprasa.pl 36974e8f88

Raporty własnego interesu

Propaganda czyni wsparcie



Rys. JANUARY

Najpierw liczba, potem dramatyzm, a na końcu wniosek o wsparcie – gdyby spisać instrukcję, jak tworzyć skuteczny raport organizacji pozarządowej, mógłby on wyglądać właśnie tak. Liczba musi być duża, problem musi palić i trzeba przy tym umiejętnie zbudować narrację, która sprawi, że czytelnik poczuje, iż bez wsparcia sytuacja stanie się jeszcze gorsza. Bo grantodawca czy donator to nie analityk, ale empatia na sterydach – wrażenie przeważa nad chłodną analizą.

Wyssane z GUS-u

„W 2024 r. w granicach skrajnego ubóstwa żyło w Polsce niemal 2 mln ludzi. To więcej, niż mieszka w Warszawie" – takim zdaniem zaczyna się raport o biedzie zaprezentowany przez Stowarzyszenie Wiosna, organizatora Szlachetnej Paczki. Zdaniem znakomitym. W jednym ciągu dostarcza liczbę, która niepokoi, skojarzenie, które osadza ją w znanym kontekście, oraz ton, który nie pozostawia złudzeń, że mamy do czynienia z dramatem.

972 zł to w 2024 r. granica tzw. skrajnego ubóstwa dla osoby samotnej. Wylicza ją GUS, który podał wszystkie dane kilka miesięcy wcześniej. Tyle powinno wystarczyć na zaspokojenie absolutnie podstawowych potrzeb. Ale w raporcie nie dopowiedziano, że wiele osób, które łapią się na ten próg, żyje za więcej. I że co jeszcze istotniejsze, ubóstwo skrajne spadło. O 1,4 punktu procentowego rok do roku. Z 6,6 proc. do 5,2 proc. To nie narracja o pogłębiającej się zapaści. To narracja o problemie, który – choć nadal realny – ulega stopniowemu ograniczeniu. Tyle że takiej narracji nikt nie poda dalej.

Stowarzyszenie operuje jednak także innym pojęciem – znacznie pojemniejszym i bardziej elastycznym, a przez to znacznie wdzięczniejszym propagandowo. Ubóstwo relatywne. Na pierwszy rzut oka wygląda ono równie strasznie. Dotyczy już nie 2, ale niemal 5 mln osób. Brzmi jak wyrok. Ale kiedy spojrzeć, czym ono naprawdę jest, zaczynają się wątpliwości. Bo ubóstwo relatywne to nic innego jak stan, w którym wydatki gospodarstwa domowego są niższe niż 50 proc. przeciętnych wydatków w kraju. Innymi słowy – masz pracę, mieszkanie, ciepłą wodę i zapas ziemniaków, ale na tle innych żyjesz skromniej. Przekłada się to na gorszy telefon, mniejsze mieszkanie i wakacje w Wiśle zamiast na Majorce. Czyli coś, co jest problemem społecznym, ale niekoniecznie humanitarnym dramatem.

I teraz najlepsze: o ile ubóstwo skrajne w 2024 r. spadło, to relatywne wzrosło. I to ten wzrost staje się osią narracyjną raportu. W końcu w mediach lepiej brzmi informacja, że „bieda rośnie", niż że się „przekształca". Biedańsk – jak to pięknie nazwano – nie jest już samotną wyspą, lecz aglomeracją. Metaforyka miejska służy tu dobrze emocjonalnemu zbliżeniu: oto powstaje mapa miejsc, gdzie ubóstwo boli bardziej niż gdzie indziej.

Nie lepiej jest z liczbami dotyczącymi dzieci. Pada konkret: 346 tys. zagrożonych biedą. Trzeba się jednak dobrze wczytać, by zrozumieć, że to nie wynik badania, tylko statystyczna ekstrapolacja. Po prostu GUS pokazał, jaki procent gospodarstw domowych z dziećmi można zaklasyfikować jako zagrożone ubóstwem. Wiosna wzięła ten procent i przemnożyła przez liczbę dzieci. Uczciwa metoda, ale mało kto wspomni, że zagrożenie biedą to nie to samo co bycie jej ofiarą. A już na pewno nie znaczy to, że każde z tych dzieci śpi głodne albo chodzi do szkoły w dziurawych butach. Takie dzieci są. I jest ich sporo. Ale nie wszystkie z tych 346 tys.

Jeszcze subtelniejsza jest kombinacja w obszarze danych o seniorach. Według raportu rządowego 25,1 proc. osób w wieku 60 plus „doświadczało niedostatku". I to z tej liczby wyciągnięto, że co piąta starsza osoba może być niedożywiona. Problem polega na tym, że wskaźnik niedostatku to nie wskaźnik niedożywienia. To oznaka ryzyka – nie stanu faktycznego. Tak samo jak „zagrożenie ubóstwem" to nie to samo co „ubóstwo". Zresztą, sami autorzy raportu Wiosny w jego dalszej części piszą o tym jakby mimochodem. Ale wcześniej zdążyli już wywołać efekt.

Bo na tym polega siła takiego przekazu: na selekcji i emocjonalnym opakowaniu. Idealnie skrojonym pod to, co chce się wywołać – odruch litości.

Nie ma nic złego w pomaganiu, we wspieraniu Szlachetnej Paczki, kupieniu potrzebującym czajnika, koca, laptopa dla dziecka. To są rzeczy ważne i potrzebne. Ale warto przy tym wiedzieć, że język, którym opowiada się o biedzie, nie zawsze służy rozumieniu. Częściej – poruszeniu. A tam, gdzie rządzi poruszenie, dane muszą brzmieć wystarczająco groźnie.

Plaga zwyroli

Diagnoza przemocy wobec dzieci w Polsce autorstwa Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę to cudowne obiektywne badanie mnóstwa profesorów płci obojga. Pytania zadawano młodzieży. W świat poszła informacja , że 8 proc. dzieci było wykorzystanych seksualnie z kontaktem fizycznym. Straszne, bo wychodziłoby, że co 12. dziecko jest ofiarą pedofila. Tymczasem, gdy wczytać się w badanie, to definicja brzmi: „Wykorzystywanie seksualne z kontaktem fizycznym – zachowania włączające dziecko w obejmującą kontakt fizyczny aktywność seksualną, której nie jest ono w stanie w pełni zrozumieć i udzielić na nią świadomej zgody lub na którą nie jest dojrzałe rozwojowo i nie może zgodzić się w ważny prawnie sposób bądź która jest niezgodna z normami prawnymi lub obyczajowymi danego społeczeństwa". Potem można doczytać, że kategorię wykorzystania seksualnego z kontaktem fizycznym badano „za pomocą pytań o jego cztery formy: niechciane dotykanie seksualne przez rówieśnika, kontakt seksualny przed 15. rokiem życia z osobą dorosłą, dotykanie seksualne przez znajomego dorosłego oraz dotykanie seksualne przez obcego dorosłego". W całym swoim nastoletnim życiu 8 proc. badanych zostało tak skrzywdzonych. Z czego połowę stanowiły kontakty z rówieśnikami.

Policja też ma swoje dane, z tych zaś wynika, że przestępstw określanych mianem pedofilii mamy co roku ok. 2 tys. przypadków.

Zestawmy to z raportem. Badana w nich młodzież miała mniej więcej 10-letnie doświadczenia, które mogła zapamiętać do ukończenia 14. roku życia. Gdyby przełożyć to na 10 pełnych roczników wyszłoby, że w grę wchodzi populacja ok. 3,5 mln młodych osób. Według policji w ciągu 10 lat doszło do 20 tys. przypadków pedofilii. Wychodziłoby zatem, że statystycznie do czynienia ze zboczeńcem miało jedno na 175 dzieci. Załóżmy nawet, że na policję dociera tylko jeden na pięć przypadków molestowania małolatów, to i tak wyjdzie, że na zwyrola natknęło się jedno na 35 dzieci. To zaś daje nie 8, ale niecałe 3 proc.

Władza nas bije

Organizacje pozarządowe pełnią w dzisiejszym społeczeństwie ważne funkcje: pomagają, reagują tam, gdzie państwo nie sięga. Ale ich rola w kreowaniu narracji problemów społecznych bywa tak silna, że coraz częściej to właśnie one definiują umysłowość publiczną na temat tego, co jest „najgorsze", „naglące" albo „alarmujące".

Weźmy przykład Europy. W 2025 r. Europejski Trybunał Obrachunkowy opublikował raport na temat systemu finansowania NGO-sów przez Unię Europejską – zaskakujący, bo mówiący o „szokujących" nadużyciach i braku transparentności w przyznawaniu pieniędzy, które miały wspierać cele społeczne. Ten dokument eksplodował w debacie publicznej, ale organizacje pozarządowe odpowiedziały natychmiast, że to atak na cały sektor. Powiedziały, że raport jest stronniczy, że jego narracja szkodzi społeczeństwu obywatelskiemu i że próba „zdyskredytowania" NGO-sów to atak na wartości demokratyczne. W tym sporze to organizacje, a nie niezależni audytorzy, były głośniejsze –

narrację kryzysu obrócono w narrację obrony sektora. To, co dla trybunału było ostrzeżeniem, dla NGO stało się materiałem do zdobywania poparcia i jeszcze większego finansowania, także z funduszy publicznych, bo „zagrożony jest sektor, który broni nas wszystkich".

To mechanizm, który działa i w Polsce. Raporty środowisk klimatycznych co roku ostrzegają, że świat ma x lat, by uniknąć katastrofy. Tylko po to, by w kolejnej edycji raportu ten termin przesunąć nieznacznie, bo poprzedni alarm się sprawdził finansowo. Sposób, w jaki aktywiści liczą dni do końca świata, ma oczywistą wartość narracyjną – dramatyzując problem, pozyskują granty nie tylko na badania, ale na programy edukacyjne, kampanie medialne i kolejne raporty, które z kolei powtarzają to samo.

Nie inaczej jest w obszarze zdrowia publicznego. Organizacje zajmujące się konkretnymi chorobami czy schorzeniami publikują corocznie raporty o „rosnącej skali problemu". Ryzyko powikłań bywa opisywane w dramatyczny sposób nawet wtedy, gdy oficjalne dane ministerstw czy niezależnych agencji pokazują stabilizację lub spadek. Takie raporty mają moc: pomagają zdobyć granty od donorów, darowizny od indywidualnych sponsorów, a czasem nawet wpływają na kształt programów państwowych. Ale ich narracja – „rośnie liczba, potęguje się dramat, zagrożenie zwiększa się" – rzadko odnosi się do twardych trendów, a bardziej do emocji.

Aktywiści uczą się systemu, w którym o finansowaniu decydują źródła zewnętrzne: fundacje, instytucje międzynarodowe, grantodawcy rządowi. Żeby zdobyć ich uwagę, oprócz faktów trzeba opowiedzieć historię problemu tak, by była ona zgodna z oczekiwaniami tych, którzy mają pieniądze. Nie znaczy to, że NGO-sy kłamią – raczej oznacza, że dobierają fakty pod narrację, która ma maksymalizować ich szanse na finansowanie.

To subtelna, długofalowa gra narracyjna – nie ma tu prostych manipulacji liczbowych, ale jest umiejętne opowiadanie świata tak, by wydawał się gorszy, niż podają oficjalne dane, i by dodatkowe fundusze pojawiły się jak najszybciej.

I choć organizacje rzeczywiście często podejmują ważne działania, realnie pomagają ludziom i wskazują na problemy, których nie zauważają rządy, to kiedy ich język staje się językiem alarmu permanentnego, warto zadać pytanie: czy naprawdę problem narasta, czy może stał się narzędziem pozyskiwania kasy.

TOMASZ BOROWIECKI

Życie W DOBROBYCIE

● Z początkiem każdego roku z szaf wychodzą wróżki, jasnowidze i eksperci. Według tych ostatnich w 2026 r. sprzedaż mieszkań wzrośnie o kilkanaście procent, a ceny lokali będą rosły w tempie zbliżonym do inflacji. Bo mieszkań jest dużo. Bardzo dużo. W połowie 2025 r. na sześciu największych rynkach dostępnych było rekordowe 61,7 tys. lokali. Od lipca deweloperzy przykręcili kurek, więc na koniec 2025 r. liczba ta spadła do około 57 tys. To wciąż niemal historyczne maksimum. Eksperci przewidują więc, że w 2026 r. firmy budujące mieszkania skupią się na sprzedaży tego, co już stoi. Liczba nowych mieszkań wprowadzanych na rynek ma wzrosnąć o około 5 proc. w porównaniu z 2025 r. Według ekspertów rynek mieszkaniowy zaczął się ożywiać w drugiej połowie 2025 r. po serii obniżek stóp procentowych. Stąd w całym 2025 r. sprzedaż mieszkań wzrosła o około 10 proc. w porównaniu z 2024 r., kiedy sprzedano 39 tys. lokali. W zeszłym roku ceny mieszkań wzrosły średnio o 3–4 proc. Bo w Łodzi spadły o ok. 2 proc., za to w Trójmieście wzrosły o 5 proc. Prognozy brzmią rozsądnie, wykresy się zgadzają, tyle że rynek mieszkaniowy już nieraz pokazał, że nie czyta raportów i nie przejmuje się wróżbami.

● A o tym, że mieszkanie nie jest towarem, mówił już w 2023 r. Tusk. I trudno się z nim nie zgodzić, bo dla przytłaczającej większości z nas zakup własnego M to dziś czysta fantastyka. „Mało kto może dziś pozwolić sobie na zakup mieszkania lub domu" – tak uważa 71 proc. badanych. To nie jest opinia jakiejś niszowej grupy malkontentów, tylko dominujące odczucie społeczne. Najgorzej jest tam, gdzie teoretycznie powinno być najlepiej. W największych miastach liczących ponad pół miliona mieszkańców z tezą o niedostępności mieszkań zgadza się 75 proc. ankietowanych. Czyli trzy czwarte ludzi żyjących w metropoliach wie, że mieszkanie jest obok nich, ale za szybą. Widać je, ale nie da się dotknąć. Najmocniej w tę szybę uderzają młodzi. Ci w wieku 18–24 lata są najbardziej pesymistyczni. Aż 76 proc. z nich twierdzi, że w ich środowisku niewiele osób może pozwolić sobie na zakup nieruchomości. Ten odsetek rośnie. W porównaniu z poprzednim kwartałem przybyło pięć punktów procentowych młodych, którzy stracili wiarę we własne lokum. Nadal 83 proc. wszystkich z nas uważa ceny mieszkań za wysokie lub bardzo wysokie. W pierwszej połowie zeszłego roku tylko 23 proc. badanych w I kwartale i 26 proc. w II kwartale uznało, że warunki sprzyjają zakupowi mieszkania. W drugiej połowie roku było lepiej, ale to „lepiej" oznacza zaledwie 34 proc. osób, które w IV kwartale 2025 r. twierdziły, że to dobry moment na zakup. Tyle samo, ile kwartał wcześniej. Sprzedający też przestają się uśmiechać. Jeszcze w III kwartale 40 proc. z nich uważało, że to dobry czas na sprzedaż. W IV kwartale zostało już tylko 34 proc. Mieszkanie nie jest więc towarem. Bo towar to coś, co można kupić. A mieszkanie w Polsce jest czymś, co się ogląda i o czym się rozmawia.

● Miało być tak pięknie. Setki miliardów z KPO, rosnący PKB, europejskie fanfary i wykresy idące w górę. Polska – jak słyszeliśmy – miała się rozpędzić, doganiać, a nawet przeganiać. Gospodarka miała ruszyć z kopyta, miejsca pracy miały same się mnożyć, a dobrobyt kapać z sufitu. Wciąż jesteśmy w unijnej czołówce krajów z najniższym bezrobociem, ale GUS pokazuje coś, co psuje tę narrację. Stopa bezrobocia rejestrowanego w listopadzie wyniosła 5,7 proc. Najwięcej od trzech lat. I co ważniejsze – rośnie od

eprasa.pl 36974e8f88

Zdefiniowana bieda

Dlaczego emerytury są tak niskie?



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Zacznijmy od faktów – one powinny walić po oczach. Dziwne, że nie walą. Polski system emerytalny został zbudowany tak, by zawsze bronić budżetu państwa, a nie ludzi. System zdefiniowanej składki zdejmuje z siebie ryzyko demograficzne i gospodarcze, pakuje je nam do kieszeni, klepie po plecach i mówi: „poradzisz sobie, Polaku przedsiębiorczy". System ma być stabilny. Ludzie mają się gimnastykować. Finansowe elity naprawdę sobie radzą – my raczej uczymy się sztuki godnego biedowania.

Powiesz: państwo co roku dokłada do ZUS, więc chyba jednak się stara. Oczywiście, że dokłada. Tyle że z naszych podatków.

W tym samym czasie Tusk zatrzymuje ustawę dającą Państwowej Inspekcji Pracy odpowiednie uprawnienia, a państwo z rozanielonym uśmiechem promuje śmieciówki: B2B, umowy zlecenia czy umowy o dzieło. Składki i podatki „preferencyjne", czyli preferencyjne dla tabelki w Excelu prezesa. Dla nas – preferencyjna bieda w odcinku „starość". Coraz więcej osób całe życie pracuje „na fakturkę", a potem słyszy, że „niestety, tak działa matematyka zdefiniowanej składki". Matematyka może i jest neutralna, ale ktoś ją tak zaprogramował.

Do tego dochodzi szczególnie perwersyjny numer: system okrada nas dwa razy, w białych rękawiczkach. Najpierw przez całe życie obciąża podatkiem dochodowym wszystkie nasze przychody. Potem drugi raz – tym samym PIT-em – opodatkowuje emerytury, czyli świadczenia wypłacane z wcześniej opodatkowanej pracy. To jak napiwek od napiwku, doliczany z uśmiechem i komentarzem „takie są procedury".

Wyobraź sobie prosty eksperyment myślowy, którego nikt w debacie publicznej nie lubi. Zamiast płacić składki emerytalne do ZUS, odkładasz te pieniądze na swoje konto. Bez szaleństw, zwykłe oszczędności, skromne oprocentowanie. Po kilkudziesięciu latach masz kwotę, z której prywatna emerytura mogłaby być co najmniej (jak wskazuje moje oszacowanie) kilkakrotnie wyższa niż dzisiejsze średnie świadczenie. Gdzie zniknęło oprocentowanie? Jasne, że ani ja, ani większość z nas nie jest w stanie tak konsekwentnie odkładać – życie, kredyt, dzieci. I właśnie ten fakt system wykorzystuje: mówi „nie dacie rady, więc bierzcie to, co jest. I jeszcze podziękujcie, że cokolwiek jest".

„Zdefiniowana składka" brzmi jak nazwa kremu do twarzy. Technicznie i niewinnie. Mechanizm jest prosty: ile odłożysz, tyle dostaniesz, a na końcu dzielimy to przez przewidywaną długość życia. Eksperci pokazują wzór, wykres i mówią: „tu nie ma polityki, tu jest matematyka". Tylko że w praktyce wygląda to tak: jeśli miałaś przerwy w pracy, bo bezrobocie lub rodzenie i wychowywanie dzieci, to twój problem. Jeśli pracowałaś za grosze – twój problem. Jeśli całe lata leciały ci na śmieciówkach – tym bardziej twój problem. ZUS nie zbankrutuje. Co najwyżej ty. W ciszy, ratalnie, do końca życia.

Demografia nadal ma znaczenie, owszem – dla wzrostu, usług publicznych, rynku pracy. Ale hasło „młodzi utrzymują starych" przestało uczciwie opisywać mechanikę systemu, a zaczęło służyć jako pałka do dyscyplinowania obywateli. Tymczasem stoimy u progu gospodarki, w której coraz większą część pracy mogą wykonywać maszyny, automaty, algorytmy.

Zamiast więc straszyć emerytów demografią, należałoby wreszcie zadać pytanie: jak podzielić owoce tej produktywności tak, żeby starość nie była sportem ekstremalnym.

Teraz twarda liczba dotycząca kobiet. Bez pudru: luka emerytalna między kobietami a mężczyznami w Polsce należy do najwyższych w Europie – szacunki mówią o różnicy rzędu 30–31 proc., co oznacza, że przeciętna emerytka otrzymuje świadczenie o blisko jedną trzecią niższe niż przeciętny emeryt. Dlaczego? Bo kobiety krócej pracują, częściej przerywają karierę z powodu opieki, zarabiają mniej, żyją dłużej – i wpadają w ten sam „neutralny" algorytm. Wynik? Stabilny budżet, niestabilna starość kobiet. To nie jest błąd systemu. To jego funkcja.

Na to nakłada się codzienna miękka przemoc: „pani zaraz odchodzi", „szkolenie już się pani nie opłaca", „może wnukami się pani zajmie". Niższy wiek emerytalny dla kobiet sprzedaje się jako przywilej, a w praktyce jest welurową rękawiczką, którą wypycha się je z rynku pracy. System zdefiniowanej składki tylko spokojnie liczy: mniej lat składek, więcej lat życia – mniejsze świadczenie. Matematyka się nie rumieni. To tylko twarz emerytki robi się czerwona, kiedy musi wybierać między lekami a czynszem.

I tu wjeżdża złota rada epoki neoliberalizmu: „oszczędzajcie w trzecim filarze, inwestujcie, rynek was uratuje". Brzmi jak coaching nagrany przy latte w coworku. Problem w tym, że ogromna część społeczeństwa po prostu nie ma z czego „odłożyć ekstra", a nawet ci bardziej zamożni dostają nie gwarancję, tylko los na loterii. Gdy całe pokolenia zaczną sprzedawać swoje aktywa, ich wartość wcale nie musi rosnąć. To nie jest powszechne bezpieczeństwo społeczne. To kasyno z lożą VIP, do której bilety rozdaje się tym, którzy i tak sobie poradzą.

Nie kupujmy więc dwóch strachów i jednej bajki. Strach pierwszy: że bez młodych wszystko runie. Nie runie – świat pracy się zmieni, system emerytalny też można zmienić, a to, co naprawdę powinno runąć, to kilka świętych dogmatów w głowach polityków. Strach drugi: że jedynym ratunkiem jest indywidualna zaradność – „pracuj dłużej, odkładaj więcej, pij mniej kawy na mieście". Ściema: że system jest tylko po to, żeby nas chronić. Obecny system chroni przede wszystkim swoją księgową elegancję i święte prawo do prywatyzowania problemu starości.

Powiedzmy to wprost: jeśli państwo buduje mechanizm, w którym w razie kryzysu pewny jest budżet, a nie godne życie ludzi, to nie jest reforma. To zbiorowa ewakuacja odpowiedzialności. System emerytalny powinien mieć cel jasny jak słońce: bezpieczeństwo obywateli, a nie wzorowy raport dla rynków finansowych. To dopiero byłaby prawdziwa stabilność.

Puenta? Krótka, ale już bez pudru: zafundowaliśmy sobie system, w którym państwo ma gwarancję spokoju, a obywatele – gwarancję niepokoju. Dopóki tak jest, „zdefiniowana składka" pozostanie zdefiniowaną biedą – elegancko wydrukowaną w Dzienniku Ustaw, oprawioną w ramkę „odpowiedzialnej polityki" i podpisaną przez tych, którzy o swoją starość dziwnie się nie martwią.

ANNA GRODZKA

czerwca. Jeszcze ciekawsze są dane o zwolnieniach grupowych. W 2022 r. zagrożonych utratą pracy było 26 271 osób. W 2024 r. – 34 191. A w 2025 r. już 88 053. I to tylko do września. Za ten „sukces" odpowiada głównie jedno województwo. Mazowieckie. A mówiąc dokładniej – Warszawa. W samym tylko tym regionie zgłoszono w tym roku zamiar zwolnienia 68 227 osób. Rok wcześniej było ich 9304, a dwa lata temu 12 863. Drugie miejsce w tej niechlubnej klasyfikacji zajmuje Śląsk. Do września zgłoszono tam zamiar zwolnienia 5397 osób. Prawie tyle samo ile w całym 2024 r. Najwięcej w przetwórstwie przemysłowym – ponad 70 proc. Transport, magazyny, usługi wspierające też swoje dorzuciły. Trzecia jest Małopolska. 4726 zgłoszeń do zwolnień. O 1684 więcej niż w całym zeszłym roku i ponad trzy razy więcej niż w 2023 r. Realnie pracę straciło tam do września 2461 osób. To więcej niż rok wcześniej. Międzynarodowy Fundusz Walutowy prognozuje stabilizację polskiego bezrobocia. Wzrost gospodarczy ma być, PKB ma rosnąć, a katastrofy na rynku pracy „nie należy się spodziewać". Ale dane z urzędów pracy pokazują, że wzrost PKB i pieniądze z KPO każą się zwykłemu człowiekowi zastanawiać, gdzie ten wzrost się zatrzymał. I dlaczego nie zahaczył o jego etat.

● Nieważne, czy bank jest prywatny i włoski, czy państwowy i polski. Nieważne, czy ma w logo żubra, żagiel, lwa, czy literki z trzech krajów naraz. Klient w banku jest po to, żeby był klientem. Czyli żeby płacił. A jak jeszcze da się go przy okazji zrobić w konia, to bankowi rośnie uśmiech tak samo, jak rosną mu zyski. Tym razem uśmiech zjechał banksterom z twarzy, bo prezes UOKiK nałożył łącznie prawie 119 mln zł kary na banki Pekao oraz Pekao Bank Hipoteczny za to, jak realizowały ustawowe wakacje kredytowe. UOKiK twierdzi, że oba banki „w tym samym czasie stosowały ten sam niezgodny z ustawą model realizacji wniosków o wakacje kredytowe". Model był sprytny, bo działał w dwie strony naraz. Z jednej strony banki skracały okres zawieszenia spłaty, z drugiej – nieproporcjonalnie wydłużały okres kredytowania. „W efekcie wakacje kredytowe były mniej korzystne, niż nakazywała to ustawa". Czyli miało być wsparcie, a wyszła promocja na bankową przebiegłość. UOKiK zobowiązał banki do poinformowania o naruszeniach „każdego konsumenta, który został poszkodowany". Sam Bank Pekao oczywiście się nie zgadza, bo „żadne z kontrolowanych zachowań Banku nie stanowiło praktyki naruszającej zbiorowe interesy konsumentów i nie stało w sprzeczności z obowiązującymi przepisami". Bank dorzucił też liczbę, która ma brzmieć jak uspokojenie: zarzuty dotyczą ok. 4 proc. wszystkich wniosków o ustawowe wakacje kredytowe. No i właśnie dlatego nie ma większego znaczenia, czy bank jest prywatny i włoski, czy państwowy i polski. Bo mechanizm jest zawsze ten sam: klient ma wierzyć, że bank działa „zgodnie z ustawą", a bank ma zawsze znaleźć taki sposób działania, żeby ustawa mu nie przeszkadzała w zarabianiu. Bo banksterzy nie mają narodowości. Banksterzy mają tabelę opłat.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

● Statystyka jest jak guma od majtek. Najlepiej widać to na przykładzie dobrobytu w Polsce na koniec 2025 r. „Dobrobyt można ująć w formie liczbowej" – przekonują analitycy. I ujmują. Co miesiąc robi to Biuro Inwestycji i Cykli Ekonomicznych, licząc nie tylko pensje, ale też zatrudnienie, inflację i bezrobocie. Z tych rachunków wyszło im, że dobrobyt nam się ostatnio obniżył. Wskaźnik dobrobytu na koniec 2025 r. wyniósł 94,8 pkt. O 0,2 pkt mniej niż miesiąc wcześniej. I tu zaczyna się magia liczb. Bo z jednej strony inflacja spada. W listopadzie zeszła do 2,5 proc. z 2,8 proc. w październiku. Najniżej od półtora roku. Na papierze – ulga. W statystyce – sukces. W portfelu – zależy od sklepu. Z drugiej strony jest praca. A raczej jej ubywanie. Zatrudnienie w sektorze przedsiębiorstw w skali miesiąca wzrosło symbolicznie o 0,1 proc., ale w skali roku spadło o 0,8 proc. „Zatrudnienie w sektorze przedsiębiorstw kurczy się nieprzerwanie od ponad dwóch lat" – wskazało BIEC. Czyli można mieć niższą inflację, ale bez roboty trudno się nią nacieszyć. Do kompletu dochodzą pensje. Nominalnie wyglądają nieźle. W listopadzie wynagrodzenia rosły w tempie 7,1 proc. Tyle że po odjęciu sezonowych fajerwerków i po uwzględnieniu wzrostu cen realny wzrost wynagrodzeń wyniósł 2,8 proc. Najwolniej od roku. Na koniec 2025 r. dobrobyt w Polsce wygląda więc tak, że w tabelach jest poprawnie, w komentarzach ostrożnie, a w życiu – różnie. Statystyka swoje zrobiła. Dała się rozciągnąć dokładnie tak jak trzeba.

TTJ

Cebula w World Press Cartoon

Rysunek Henryka Cebuli, rysownika współpracującego z tygodnikiem „NIE", znalazł się na wystawie w Portugalii i albumie „World Press Cartoon 2025" podsumowującym ubiegłoroczny najbardziej prestiżowy konkurs rysunku prasowego.



eprasa.pl 36974e8f88

Teraz Grenlandia?

Jest się czego obawiać

Pożądanie Trumpa wobec Grenlandii nie jest nowe. Już podczas swojej pierwszej kadencji mówił o zamiarach kupna wyspy przez USA. Oficjalnie amerykański prezydent uzasadnia chęć zaanektowania Grenlandii koniecznością obrony przed Chinami i Rosją. Jak głosi: USA pragną obronić nie tylko samą wyspę, ale także NATO i Arktykę, przed FR i ChRL, których okręty jakoby już okrążyły Grenlandię. Dania według niego sama sobie z tym nie poradzi. Trump twierdzi ponadto, że Grenlandii grozi chińska i rosyjska okupacja, w związku z czym należałoby je uprzedzić i samemu okupować wyspę.

Argumentacja ta może i trafia do najtępszych wyborców Trumpa, lecz jest powszechnie uważana za całkowicie wydumaną. Chiny interesuje Tajwan, a Rosję Ukraina – i po cholerę im Grenlandia? Również bardziej kompetentny od amerykańskiego prezydenta dowódca duńskich wojsk arktycznych generał Sören Andersen wyraźnie stwierdził, iż ani Rosja, ani Chiny nie stanowią dla Grenlandii militarnego zagrożenia. Więc o czym tu mowa?

Prawdziwą motywację dla podporządkowania sobie Grenlandii stanowią jej zasoby naturalne. Trump wpadł bowiem w obsesję na punkcie surowców mineralnych, uważając, że dzięki nim uczyni Amerykę znowu wielką.

Nawiasem mówiąc, nie jest on pierwszym amerykańskim prezydentem, który chciałby kupić Grenlandię. W 1946 r. Harry Truman oferował za wyspę 100 mln dol. w złocie. Dziś niektórzy specjaliści oceniają grenlandzkie zasoby ropy naftowej, gazu, uranu, złota i cynku na 2,5 do 4,4 bln dol., co nawet dla Stanów Zjednoczonych jest kwotą nie do przełknięcia. Być może Trump swoim zwyczajem zamierza negocjować cenę, mając w zanadrzu wojennego straszaka. Na razie zapowiadane są rozmowy między szefami resortów spraw zagranicznych USA i Danii, które – jak twierdzi duński minister spraw zagranicznych Lars Lokke Rasmussen – powinny doprowadzić do rozwiązania „pewnych nieporozumień"; tak jakby chodziło o jakieś niuanse, a nie o przyszłość Grenlandii. Słychać opinie, że Dania w zamian za pozostawienie w spokoju Grenlandii udostępni Stanom eksploatację podziemnych zasobów. Być może za jakąś skromną – a znając pazerność Trumpa, wręcz symboliczną – opłatą.

Jak pisze brytyjski „The Mail on Sunday", jastrzębie z otoczenia Trumpa są tak rozochoceni uprowadzeniem Maduro, że chcieliby szybko doprowadzić do zajęcia Grenlandii.

Czy Trump zdecyduje się na zbrojną interwencję? On sam oświadczył, że w stosunku do Grenlandii zostaną podjęte pewne kroki „czy to się komuś podoba, czy nie". Z jego administracji płyną w tej sprawie sprzeczne sygnały, wprowadzając dodatkowe – graniczące z paniką – zamieszanie wśród europejskich sojuszników. Francuski minister spraw zagranicznych Jean-Noël Barrot twierdzi, że jego amerykański odpowiednik Marco Rubio powiedział mu w rozmowie telefonicznej, że inwazja na Grenlandię nie jest rozwiązaniem przyjętym przez Stany Zjednoczone. Za to rzeczniczka Białego Domu Karoline Leavitt oświadczyła, że wprawdzie pierwszą opcją Trumpa była zawsze dyplomacja, ale prezydent nie wyklucza użycia siły militarnej.

O tym, że taki wariant jest poważnie brany pod uwagę, świadczyć może polecenie opracowania planu inwazji na Grenlandię wydane przez Trumpa dowódcom sił specjalnych, o czym donosi „The Mail on Sunday". Ponoć polecenie to napotkało jednak na opór ze strony wojskowych, którzy zwrócili uwagę, że operacja byłaby nielegalna i nie zostałaby poparta przez Kongres. W zamian proponowali inne siłowe rozwiązania, jak przechwytywanie rosyjskich statków z floty cieni czy nawet zaatakowanie Iranu. Ta ostatnia sugestia odzwierciedla mentalność amerykańskich zupaków. Bombardowanie Iranu – proszę bardzo, ale wara od europejskiej sojuszniczej Grenlandii.

Przeciwni interwencji są także niektórzy amerykańscy politycy. Senator John Neely Kennedy z Partii Republikańskiej nazwał ewentualne zbrojne wtargnięcie na teren Grenlandii niebezpiecznym idiotyzmem. Demokratyczny senator Ruben Gallego wniósł do projektu ustawy o wydatkach na obronę poprawkę zakazującą wykorzystania tych funduszy na wojenne działania wobec Grenlandii. Wskazuje przy tym – i nie on jeden – że awanturą wokół Grenlandii Trump stara się odwrócić uwagę Amerykanów od problemów życia codziennego takich jak inflacja, rosnące ceny produktów i mieszkań.



Ilust. PAWEŁ FERENC

Co na to Europa? Premier Danii Mette Frederiksen uważa, że zajęcie Grenlandii przez USA oznaczałoby koniec NATO jako sojuszu militarnego. Wspomniany uprzednio szef francuskiego MSZ Jean-Noël Barrot ogłosił, że atak jednego z państw NATO na inne nie miałby sensu. Warto jednak pamiętać, że sytuacja taka miała już miejsce, kiedy doszło do konfrontacji zbrojnej między Grecją i Turcją. Taki scenariusz może być bezsensowny z punktu widzenia sojuszu jako takiego, lecz jako uzasadniony amerykańską imperialną racją stanu staje się możliwy.

Szwecja zapowiedziała przeznaczenie 1,4 mld euro na rozbudowę terytorialnej obrony powietrznej w obawie przed utratą amerykańskiego parasola ochronnego. Na co Trump odpowiada – nie bez racji – że kraje NATO bardziej potrzebują Ameryki niż ona ich.

Według cytowanych przez „The Sunday Telegraph" źródeł

w UE rozważane ma być wprowadzenie sankcji wobec amerykańskich korporacji. Należałoby to jednak rozpatrywać bardziej jako straszenie kota przez myszy niż realny scenariusz.

Oczywiście cały zachodni świat z właściwą sobie obłudą ani chwili nie myślał o antyamerykańskich sankcjach po interwencji w Wenezueli, choć – posługując się znanym cytatem – one po prostu im się należały.

Czołowy doradca amerykańskiego prezydenta Stephen Miller nazwał Grenlandię duńską kolonią. To niezupełnie tak. W odróżnieniu bowiem od klasycznego kolonializmu Dania wspomaga finansowo Grenlandię (równowartością ponad pół miliona euro rocznie), a nie tylko drenuje jej zasoby. Mimo to według ubiegłorocznych badań opinii publicznej 56 proc. Grenlandczyków opowiada się za niepodległością; jest to także powszechne stanowisko partii politycznych, które różnią się jednak między sobą co do sposobu doprowadzenia do niezależności. Ostatnio w kontekście amerykańskich gróźb pięć partii parlamentarnych wydało wspólne oświadczenie deklarujące: „Nie chcemy być Amerykanami, nie chcemy być Duńczykami, chcemy być Grenlandczykami".

Niepodległość może jednak okazać się niebezpieczna. Grenlandia stanowiąca część Danii należy do NATO; z niepodległą i faktycznie bezbronną Grenlandią Trump mógłby sobie poczynać jak z Wenezuelą. Zwłaszcza że amerykańskie wojska już na wyspie są. Obecnie – 150 żołnierzy sił powietrznych i kosmicznych, ale może ich być więcej i to od zaraz. Jak bowiem twierdzi duńska premier Mette Frederiksen, konstytucja Danii nie ogranicza liczby amerykańskich wojaków. Miał to być w jej zamyśle argument przeciwko amerykańskim planom aneksyjnym – jednak w rezultacie może mieć skutek przeciwny.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Musk czy mózg

Kto za przewodnika?

Zatrudnieni na śmieciówkach znów zobaczyli krzywy ryj polskiego peryferyjnego kapitalizmu. Nadwiślański liberał na czele rządu najpierw dokonał ideologicznego striptizu w świątyni biznesu. Teraz zatroszczył się o interes Rafała biznesu. A tyle prawił o mitycznej przedsiębiorczości. Nawet piasek miała zamieniać w złoto. Okazuje się, że tylko tania praca i niskie podatki zrobią z ciebie biznesmena.

Technoprorok, kapitalista, Frankenstein?

Szkocki mierniczy, filozof i ekonomista Adam Smith zażartował sobie, że „bogactwo, tak jak zdrowie, nie jest nikomu odbierane". Elon może swoje bogactwo zawdzięczać własnej przedsiębiorczości, podobnie jak serce jak dzwon treningowi. Ale sprawa się komplikuje, kiedy jakiś John jest współpracownikiem robota w magazynie rozsyłanego po świecie badziewia. Poddany cyfrowemu nadzorowi, zmuszony do nieustannej uwagi i wysokiego tempa pracy, wykonujący te same czynności non stop przez całą dniówkę – w końcu staje się depresyjnym konformistą. Sięga po używki, pojawiają się kłopoty z krążeniem. Pytanie, kto wcześniej i w jakim celu stworzył takie warunki pracy. A te tworzą współcześni stachanowcy kapitalizmu Musk czy Bezos: zatrudnienie poniżej kwalifikacji, ograniczone świadczenia pracownicze, niska płaca. Zarówno starzy, jak i nowi „zbójeccy baronowie" zawsze walczyli i zawsze walczą ze starymi i nowymi luddystami „mającymi lenistwo w genach".

Podziwiany w czasie rewolucji przemysłowej w Anglii, najbogatszy jej beneficjent Richard Arkwright zaczynał jako balwierz i handlarz. Był przynajmniej wynalazcą maszyny przędzalniczej, tzw. ramy wodnej, a w następstwie fabryki. Z czasem mogła ona zastąpić pracę kilkudziesięciu przędzalników. Zbudował trzy nowe przędzalnie. Stał się wzorem pomysłowego i obrotnego „kapitana przemysłu", prototypem Frankensteina. Maszyny były bowiem napędzane nie tylko siłą wody, ale też potem i krwią pracowników. To oni stali się dodatkiem do maszyny, tracąc umiejętności zawodowe, autonomię pracy, jakość swojej siły roboczej, oswojony tryb życia.

Krok dalej posunął się współtwórca imperium brytyjskiego „od Kapsztadu po Kair" Cecil Rhodes. Ten wielki „patriota rasy", był nie tylko przedsiębiorcą i specjalistą od zawierania umów pod presją wojny. Ten diamentowy potentat wykorzystał dla zgromadzenia majątku „tanią niewolniczą siłę roboczą dostarczaną przez rodowitych mieszkańców kolonii" – pisze historyczka Caroline Elkins.

Finałem tej drogi okazała się taśma produkcyjna. Tutaj stopniowo pracę ludzi zastępowały maszyny. Dzięki nim stał się dostępny milionom nowy towarzysz życia – samochód. 15-milionowy egzemplarz opuścił ówczesną maszynerię zysku już w 1927 r. Działo się to w fabryce Henry'ego Forda w Dearborn w stanie Michigan. Ford chciał być „sługą milionów", gardził giełdziarzami i handlarzami długów, nie chciał spółek, w których „finanse biorą prym przed pracą" – jak sam wyznał. Ale musiał ulec konkurentowi, dla którego biznes to była tylko czysta gra robienia pieniędzy. Tak traktował biznes największy jego konkurent Alfred Sloan stojący na czele General Motors Company. Kierował się maksymą, że podstawowym celem korporacji jest robienie pieniędzy, a nie jedynie produkcja samochodów. Niewiele do zdrowego rozsądku kapitalisty dodał Milton Friedman, czczony w Polsce współtwórca doktryny neoliberalnej. Zysk, zysk ponad wszystko.

Urojenia ekonomii

Big techy Elona Muska stanowią tylko swoiste domknięcie fenomenu kulturowo-gospodarczego, jakim jest w istocie kapitalizm. Jak to możliwe, pytał Keynes, że ludzie masowo oddają władzę nad własną przyszłością typom zafiksowanym na kumulacji majątku i władzy, osobom psychotycznym, bez empatii i liczenia się z kosztami społecznymi i ekologicznymi swoich biznesowych pasji, fobii, obsesji? Po dyskusji ze studiującą młodzieżą też nie wiem dlaczego. Wiem natomiast, że kapitalizm, by trwać – musi korzystać z taniej pracy produkcyjnej i taniej pracy reprodukcyjnej kobiet, z taniej żywności, z taniej energii i minerałów. Słowem, prosperuje dzięki eksploatacji ludzi i przyrody. A także tanich odpadów. Przyroda stała się śmietnikiem pozostałości po radosnej produkcji i konsumpcji. O ideologiczną legitymację postarali się wierzący ekonomiści – tacy sami spryciarze jak technobuce.

Najpierw trzeba było oddzielić człowieka od natury, rozum od materii niższego sortu – ziemi, jej darów, w końcu ludów nieznających Pana. Dzieła tego symbolicznie dokonał Kartezjusz. Nowy, prometejski Człowiek miał stać się dzięki wiedzy o przyrodzie jej „panem i posiadaczem".

Następnie klasycy ekonomii politycznej uznali „wspaniałomyślność" przyrody, która za darmo obdarza kapitalistę swoimi darami – ziemią, minerałami, nośnikami energii. Np. cena węgla odpowiada wyłącznie kosztom jego wydobycia, magazynowania czy transportu. Francuski przedsiębiorca i ekonomista Jean-Batiste Say mówił, że „nie kupuje się wcale prawa do korzystania z powietrza, wody ani tych wszystkich innych dóbr, które istnieją w przyrodzie w ilości nieograniczonej. (…) Skoro źródło tych środków jest niewyczerpane, nie mają one ceny". Taką moc produkcyjną miała darmowa woda rzek, wiatr, słońce.

Efektem tych poglądów było rozumienie „rzadkości dóbr", które miały zaspokajać nieograniczone potrzeby oczekujących na rewolucję szczęścia. „Rzadkość dobra" dla tej nibynauki to tylko jego brak na rynku, kiedy popyt przewyższa podaż. „Wartość dobra" z kolei to jego użyteczność – nie zaś, jak u Smitha czy Marksa, przeciętny czas pracy konieczny do jego wytworzenia.

I w końcu zatryumfowało jedyne kryterium racjonalności ekonomicznej: maksymalizowanie stopy zysku czy stopy procentowej. Gdyż koszty „zewnętrzne" kreatywnej przedsiębiorczości podlegają internalizacji – po ludzku: są ponoszone – na poziomie całego społeczeństwa i planety. Dlatego „rynkowe" ceny dóbr nie mówią całej prawdy o ich kosztach.

W tej sytuacji Musk może rozwijać swoje biznesy bez względu na koszty

eprasa.pl 36974e8f88

Demokracja wkracza do Wenezueli

Porwanie Maduro – i co dalej?

Wczesnym rankiem 3 stycznia 2026 r. amerykańskie pociski spadły na główną bazę lotniczą La Carlota, położoną we wschodniej części Caracas, zniszczyły pojazd przenoszący antyrakiety, uszkodziły pasy startowe, spaliły trzy pasażerskie autobusy. Celny ostrzał prawie całkowicie unieszkodliwił ośrodek dowodzenia wenezuelskiego wojska Fuerte Tiuna. Częściowo zniszczone zostały rosyjskie systemy antyrakietowe, ustawione w widocznych miejscach. Zbombardowano port oraz rejon lotniska cywilnego w stanie La Guaira. W miejscowości Altos de Pipe w stanie Miranda celem amerykańskich bomb stał się Wenezuelski Instytut Badań Naukowych, centra Fizyki, Chemii, Ekologii i Technologii Nuklearnej należące do tego instytutu. W stanie La Guaira zbombardowano magazyny medyczne, gdzie składowano medykamenty nefrologiczne i aparaturę do dializ. Zniszczenie tych magazynów odcięło od opieki lekarskiej ponad 9000 chorych na nerki Wenezuelczyków. W związku z tym rząd Brazylii wysłał do Wenezueli 40 ton aparatury do dializ oraz lekarstw na choroby nerek. Minister spraw wewnętrznych Diosdado Cabello Rondón poinformował, że w sumie wskutek amerykańskiej agresji zginęło ponad 100 osób. 4 stycznia zaatakowane zostały też stacje elektroenergetyczne, co wywołało braki elektryczności w dużej części kraju.

Głównym celem amerykańskiego ataku był przywódca wenezuelski Nicolás Maduro Moros, który został porwany ze swojej sypialni wraz z żoną Cilią Flores, przez żołnierzy elitarnej jednostki Delta Force. Na celowniku Stanów Zjednoczonych jest jeszcze aktualny minister spraw wewnętrznych Diosdado Cabello, za którego schwytanie wyznaczono nagrodę 25 mln dol., i naczelny dowódca sił zbrojnych, szef MON gen. Padrino López, który został wyceniony na 15 mln dol.

15 godzin po porwaniu Nicolása Maduro w sali konstytucyjnej pałacu Miraflores decyzją Najwyższego Trybunału Sprawiedliwości i na mocy 233 art. konstytucji wenezuelskiej dotychczasowa wiceprezydent Delcy Rodríguez została zaprzysiężona na tymczasowego prezydenta Boliwariańskiej Republiki Wenezueli.

Zachodnie media twierdzą, że objęła funkcję z woli Donalda Trumpa – sytuacja wydaje się jednak nieco bardziej skomplikowana. W inauguracyjnym wystąpieniu Delcy Rodríguez zadeklarowała chęć pokojowej współpracy z USA, ale jednocześnie potępiła porwanie prezydenta Maduro, zażądała jego uwolnienia i powołała specjalną komisję mającą o nie zabiegać. Oddała hołd poległym Wenezuelczykom i pozostałym ofiarom amerykańskiej agresji.

Amerykanie wzdragają się przed bezpośrednim wkroczeniem do Wenezueli, zdając sobie sprawę z kosztów, jakie musieliby ponieść. Wielotysięczne wiece poparcia dla Maduro i żądania jego uwolnienia wskazują na wielką popularność chavizmu w społeczeństwie, a także na powszechną niechęć do USA. Według najnowszych danych porwany prezydent cieszy się teraz wśród Wenezuelczyków większym poparciem niż w czasie, gdy sprawował swój urząd. W tym kontekście wydaje się, że zamiast otwartej okupacji Amerykanie postawili na taktykę „indywidualnego terroru" względem poszczególnych polityków wenezuelskich – i pobieranie haraczu.

Trump zażądał od Wenezueli przekazania 50 mln baryłek ropy naftowej, a także kupna amerykańskich produktów rolno-spożyczych, lekarstw i osprzętowania sieci elektrycznej. Inne żądania to zerwanie relacji gospodarczych i politycznych z Chinami, Rosją, Iranem i Kubą oraz uwolnienie „więźniów politycznych".

W oświadczeniu wygłoszonym na posiedzeniu gabinetu Delcy podkreśliła, że 71 proc. wytwarzanej w Wenezueli ropy naftowej jest przeznaczone na eksport do ośmiu krajów, z czego 27 proc. trafia do USA. Krótko mówiąc, odmówiła zerwania współpracy z Chinami, Rosją i Iranem. Zgodziła się natomiast na otwarcie ambasady amerykańskiej w Caracas. Prezydent zaakceptowała też uwolnienie aktywistów opozycyjnej prawicy.

Następnie Marco Rubio zażądał od Delcy Rodríguez zneutralizowania Diosdada Cabello. Media donoszą o konflikcie między dwojgiem polityków. Szef MSW jest zwolennikiem twardego oporu względem Stanów Zjednoczonych, podczas gdy pani prezydent reprezentuje linię bardziej ugodową. Konflikt – jak się przypuszcza – mogły zaognić wydarzenia z 6 stycznia, kiedy to nad pałacem Miraflores pojawiły się drony, a w centrum Caracas wybuchła strzelanina. Siedziba rządu została – w celu ochrony – otoczona przez opancerzone wozy bojowe. Jedni interpretowali te zajścia jako kolejne działania Amerykanów w celu wywarcia nacisku na rząd, inni – jako próbę wewnętrznego zamachu stanu. W mediach społecznościowych pojawiły się informacje, że Cabello usiłował pozbawić Rodríguez władzy i użył do tego celu pozostających pod jego komendą oddziałów paramilitarnych zwanych Colectivos. Wkrótce potem szef MON generał Padrino López zapewnił, że armia popiera Delcy Rodríguez. Także sam Cabello w swoim programie telewizyjnym „Con el mazo dando" zapewnił o swojej lojalności wobec nowej prezydent.

Nie dziwią zatem spekulacje, że Trump nie jest zadowolony z Delcy Rodríguez i ponownie rozważa koncepcję kandydatury laureatki pokojowego Nobla 2025 Maríi Coriny Machado jako szefa państwa. Pozbycie się Rodríguez niesie jednak ze sobą pewną dozę niepewności; noblistka ma w społeczeństwie wenezuelskim bardzo znikome poparcie. Równocześnie senat amerykański przegłosował rezolucję zabraniającą Trumpowi podejmowania kolejnych agresywnych kroków przeciw Wenezueli. Wprawdzie rezolucja, żeby stała się obowiązującym prawem, musi jeszcze przejść długą drogę legislacyjną, ale bezprecedensowy fakt, że przeciw Trumpowi głosowało pięcioro republikańskich senatorów, nie umknął niczyjej uwadze.

Łatwość porwania prezydenta Maduro zszokowała opinię publiczną. Stany Zjednoczone, dysponując gigantyczną przewagą techniczną, zdołały całkowicie zneutralizować obronę antyrakietową i radary.

Wenezuelska armia wykazała się zupełną niefrasobliwością i biernością. Według niektórych ekspertów rosyjskie pociski Igla-S mogły zestrzelić 12 amerykańskich śmigłowców z Delta Force na pokładzie. Nie padł jednak rozkaz otwarcia ognia.

W związku z tym w sieciach społecznościowych coraz częściej zaczęło się pojawiać słowo „zdrada". Duże wrażenie zrobiła wypowiedź Nicolása Maduro Guerry, syna porwanego prezydenta, który utrzymywał, że jego ojciec został zdradzony przez osobę z najwyższych kręgów władzy. Wielu internautów zinterpretowało to jako aluzję pod adresem Delcy Rodríguez, która – w tej wersji – miała już wcześniej paktować wraz z Amerykanami. Delcy ma jednak też swoich obrońców. Były minister spraw zagranicznych Wenezueli Jorge Arreaza, były prezydent Ekwadoru Rafael Correa czy słynny urugwajski politolog Ariel Umpierrez odrzucają taką ewentualność. Media społecznościowe w gronie potencjalnych zdrajców wymieniają także brata Delcy, szefa parlamentu Jorge Rodrígueza, prokuratora Williama Tareka Saaba, a nawet pierwszą damę Cilię Flores.

Delcy Rodríguez po objęciu urzędu wprowadziła stan wyjątkowy w kraju i wydała rozkaz poszukiwania potencjalnych zdrajców. W efekcie odpowiedzialny za bezpieczeństwo prezydenta generał Javier Marcano Tabata został zdjęty ze stanowiska. Zarzucono mu kontakty z obcym wywiadem.

Kto – i czy w ogóle ktoś – zdradził, czas pokaże. Pewne jest natomiast, że jeśli Stany Zjednoczone zdołają narzucić neoliberalną transformację, Wenezuela cofnie się w rozwoju o dziesięciolecia, powracając do powszechnej nędzy z lat 80. i 90. zeszłego wieku. Jeśli zmiany te zgodzi się realizować Delcy Rodríguez czy kogokolwiek z obecnej elity władzy, będzie to oznaczało skompromitowanie chavizmu w oczach społeczeństwa.

Mówiąc lapidarnie: Waszyngtonowi chodzi o zniszczenie chavizmu rękami chavistów. Sytuacja jest więc dość ponura nie tylko dla Wenezueli, ale także dla innych krajów Ameryki Łacińskiej. Jak ujął to ustępujący prezydent Chile, Gabriel Boric: „Dziś Maduro, jutro ktokolwiek inny".

ANDRZEJ ULMER



Ilustr. PAWEŁ FERENC

społeczne i ekologiczne: elektryki, turystykę kosmiczną, konstelację satelitów okołoziemskich, AI. Wszystkie one przynoszą głupiemu radość, lecz przyśpieszają kryzys planetarny.

Nieboskłon wg Elona

I tak elektryki, które produkuje firma tytana biznesu, wyposażone są w akumulator ważący około 450 kg. Zawiera on 11 kg litu, prawie 14 kg kobaltu, 27 kg niklu, ponad 40 kg miedzi i 50 kg grafitu. Do tego 181 kg stali, aluminium i tworzyw sztucznych. Nic więc dziwnego, że do ich uzyskania trzeba przetworzyć 40 ton rud. Co gorsza, ze względu na małą koncentrację wielu pierwiastków tonaż szybko wzrasta: do 225 ton surowców pierwotnych. Więc gdyby faktycznie elektryki miały zastąpić samochody z napędem spalinowym choćby w połowie, będzie trzeba większego spustoszenia litosfery planety. Według szacunku kanadyjsko-czeskiego uczonego Václava Smila, do 2050 r. przemysł będzie potrzebował 18–20 razy więcej litu, 17–19 razy więcej kobaltu, 28–31 razy więcej niklu. Większości pozostałych materiałów – 15–20 razy więcej niż obecnie.

Ale samochody autonomiczne są tylko wstępem do kolejnej militaryzacji pola walki: wkrótce będą ze sobą walczyć autonomiczne czołgi, samoloty, statki. Nie bez powodu Pentagon od dekad współfinansuje innowacje wykorzystujące technologie półprzewodnikowe i sztuczną inteligencję.

Musk ma też ambicję podboju kosmosu. Na razie to oferta turystyki kosmicznej. Trwa wyścig między nowymi żeglarzami przestworzy: Muskiem, Bezosem i Bransonem. Ale zabaweczka jego firmy SpaceX – rakieta Falcon 9 – w trakcie lotu do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej zużywa 147 ton nafty oraz 341 ton ciekłego tlenu. Wytwarza ślad węglowy równy 600 tonom ekwiwalentu dwutlenku węgla (CO_2e).

Idol kalifornijskiej infomanii umieszcza na orbicie okołoziemskiej satelity – Starlinki. Stanowią one ponad połowę wszystkich krążących wokół Ziemi. Obecnie są ich dziesiątki tysięcy – w najbliższych latach SpaceX, brytyjski One-Web czy chiński Galaxy Space

planują wystrzelenie ponad 430 tys. satelitów w różnych konstelacjach. Większość z nich krąży po niskich orbitach wokółziemskich na wysokości poniżej 2 tys. km. „Czy to Elon Musk powinien decydować o tym, co ludzie widzą na nocnym niebie?"

– pyta amerykańska dziennikarka Rebecca Boyle na łamach „Scientific American" (nr 3/23, polska edycja).

Wkrótce nie będzie już nawet kantowskiego gwiaździstego nieba nad nami – bo prawo moralne w nas już dawno zastąpiła beztroska radosna konsumpcja. A dla ludzi zbędnych dla kapitału – tych, którzy z braku pracy i dochodu nie korzystają z ofert Amazona – mamy mury i barierę rasową i kulturową.

Bity nie zastąpią atomów

I w końcu nowe pole ucieczki przed nawisem kapitału portfelowego: inwestycje w sztuczną inteligencję, AI. Założyciel OpenAI Sam Altman ogłosił, że chce zebrać 7 bln dol. na rozbudowę infrastruktury sztucznej inteligencji. Problem polega na tym, że technofil zapatrzony w infotechnologie nie widzi materii, z której powstaje ta infrastruktura i energii, którą musi być zasilana. A materia i źródła energii to – niestety – wciąż atomy, a nie bity.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Dobrą ilustracją jest budowa ośrodka przetwarzania danych Stargate w Abilene w Teksasie. Projekt, ogłoszony w styczniu 2025 r. przez prezydenta USA, zakłada inwestycję w wysokości 500 mld dol. w budowę 20 centrów danych. Szacuje się, że po uruchomieniu centrum danych będzie zużywało energię równą energii potrzebnej do zasilania 750 tys. domów. Aby sprostać temu zapotrzebowaniu, OpenAI buduje do zasilania centrum elektrownię gazową.

Według szacunków Houston Advanced Research Center (HARC) centra danych w Teksasie już w 2025 r. zużyły 185,5 mld litrów wody. Do 2030 r. liczba ta może osiągnąć 1,51 bln litrów, co stanowi 6,6 proc. całkowitego zużycia wody w tym stanie. Co więcej, prognozuje się, że zapotrzebowanie na energię elektryczną do 2031 r. osiągnie 218 gigawatów – czyli prawie trzykrotnie więcej niż 85 GW odnotowane w 2024 r. – przecież też „napompowane" przez istniejące już centra danych.

Nie dajmy się uwieść pozornie niewinnym czarodziejom postępu. Jak stwierdza Smil, wciąż czteroma filarami naszej cywilizacji są: cement, stal, tworzywa sztuczne i amoniak. I dopóki cała energia konieczna do wydobycia i przetworzenia tych materiałów nie będzie pochodzić ze źródeł odnawialnych, niewiele się zmieni. Lepsze czasy mogą nadejść wraz z komercyjnie opłacalną energią z syntezy termojądrowej. To się może stać ew. około 2100 r. Do tego czasu ludzkość nadal pozostanie fundamentalnie zależna od paliw kopalnych – jak dotychczas w kapitałocenie.

„Nie zmieni tego ani sztuczna inteligencja, ani najnowsze aplikacje, ani elektroniczne komunikatory" – pisze Smil w książce „Jak naprawdę działa świat" (2024).

W tej sytuacji pozostaje zabójczy dla kapitalizmu wymuszony dewzrost. Ale postkapitalizm będzie się rodził w wielkich bólach, skoro beneficjentów obecnego systemu jest tak wielu. To nie tylko władcy wielkich korporacji i kapitału portfelowego, ale też ich drużynnicy – specjaliści od zarządzania, finansów, marketingu czy usypiania mózgów klas pracowniczych: a to strachem przed Czyngis-chamem, a to pożeraczami gołębi, a to inflacją i wszechwładnym państwem, w końcu ekoterroryzmem i wysokimi podatkami.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

Autor jest profesorem nauk społecznych, b. wykładowcą na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW.

eprasa.pl 36974e8f88

„Polska nie zamierza obecnie przywracać powszechnego poboru do wojska” – Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier i minister obrony narodowej.

Pospolite ruszenie

„Nauka zamiast karabinu” – tym hasłem mogłyby opatrzyć swoje życiorysy dziesiątki tysięcy młodych Polaków w latach 2000–2008, gdy obowiązkowa zasadnicza służba wojskowa wciąż formalnie obowiązywała, ale w praktyce była omijana i neutralizowana.

Zamiast munduru – indeks. Zamiast musztry – kolejne semestry. A zamiast hełmu – celowo przeciągana edukacja. „Do wojska albo do szkoły” – diagnozowali wtedy analitycy, wskazując na widoczną statystycznie różnicę między płciami w liczbie kontynuujących naukę. Mężczyźni nieprzypadkowo dominowali w szkołach policealnych, na kursach podyplomowych i na przedłużających się studiach magisterskich. Odroczenie służby z tytułu nauki było nie tylko prawem, ale i społeczną normą.

Kryć się!

Inny wariant stanowiły komisje lekarskie. Kategoria D lub E – czyli niezdolność do służby – była niczym wygrana na loterii. Można ją było uzyskać na podstawie realnych schorzeń, ale bywało, że i na podstawie „kreatywnej interpretacji” stanu zdrowia. Proceder fałszowania dokumentacji medycznej znany z PRL miał swoje echa także po 2000 r. Lekarze wojskowi – ci bardziej „wyrozumiali” – bywali nagabywani przez rodziny. Opowiadano też o symulantach, którzy przez tygodnie ćwiczyli tiki nerwowe lub wkuwali objawy schorzeń psychicznych. Wszystko po to, by podczas komisji wypaść jak najbardziej niebojowo.

Byli też tacy, którzy woleli grać kartą legalnych, choć niekoniecznie dramatycznych sytuacji życiowych. Wystarczyło wykazać, że jest się jedynym opiekunem rodziny, samotnym ojcem, opiekunem osoby niepełnosprawnej i już można było ubiegać się o odroczenie. Przepisy były jasne, ale pozwalały na bardzo szeroką interpretację. W efekcie każda komisja wojskowa stawała się nie tylko medyczną, ale i społeczną areną kreatywności obywateli.

Doszedł jeszcze jeden czynnik, który kompletnie zmienił zasady gry: otwarcie granic. Po 2004 r., czyli po wejściu Polski do Unii Europejskiej, setki tysięcy ludzi ruszyły na Zachód. Nie tylko za chlebem. Również za spokojem od WKU. „Zameldowany w Polsce, ale od trzech lat pracuję w Irlandii” – takich historii były tysiące. Oficjalnie nie byli dezerterami, nie stawali się przestępcami – po prostu znikali z systemu.

Kolejna strategia – najprostsza, ale i najbardziej ryzykowna – to po prostu ignorowanie systemu. Niestawienie się na wezwanie. Nieodebranie listu poleconego z WKU. Zmiana adresu zameldowania bez zgłoszenia. Unikanie jakiegokolwiek kontaktu z urzędami. Uchylactwo poborowe – jak nazywano ten proceder – przybierało różne formy, ale sedno było zawsze jedno: pozostać poza radarem państwa. Pisano o całym pokoleniu młodych mężczyzn, którzy funkcjonowali „na krawędzi legalności”, licząc na to, że zanim ktoś się nimi zainteresuje – pobór zostanie zawieszony.

I się nie przeliczyli. W 2008 r. decyzją polityczną obowiązek zasadniczej służby wojskowej został zawieszony.

Mięso statystyczne

„Przechowalnik, a nie armia” – tak w 2009 r. określił realia zasadniczej służby wojskowej gen. Mieczysław Cieniuch, ówczesny szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. I nie był w tym osądzie odosobniony. Kilkanaście miesięcy później gen. Stanisław Koziej dołożył jeszcze: „Obowiązkowy pobór do wojska w Polsce nie tylko nie ma uzasadnienia militarnego, ale też jest sprzeczny z logiką budowy nowoczesnych sił zbrojnych”. A gen. Waldemar Skrzypczak, dowódca Wojsk Lądowych, podsumował krótko: „W czasach nowoczesnej armii nie ma miejsca na przymus”.

Te trzy cytaty to nie tylko refleksje wysokiej rangi wojskowych. To epitafia wystawione instytucji, która przez dziesięciolecia stanowiła fundament polskiej obronności. Ostatni pobór do zasadniczej służby wojskowej w Polsce odbył się w 2008 r. W tym samym roku liczba żołnierzy zawodowych w Wojsku Polskim oscylowała wokół 105–110 tys„ a dodatkowo służbę pełniło jeszcze 37,6 tys. poborowych. Razem – ponad 140 tys. ludzi w mundurach.

Służba zasadnicza trwała wówczas dziewięć miesięcy, tak mniej więcej jedną trzecią tego co



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

w PRL, gdy do woja szło się na co najmniej 24 miesiące. Reforma z 2004 r. stopniowo skracała długość pobytu w koszarach, aż w końcu doprowadziła do ostatecznego zawieszenia poboru, formalnie ogłoszonego od 1 stycznia 2010 r.

Ale zanim nastąpił ten finał, Wojsko Polskie w roku 2008 było zbiorem kontrastów. Z jednej strony pierwsze sukcesy w misjach zagranicznych, lepsze wyposażenie, integracja z NATO. Z drugiej – wciąż obecność tysięcy poborowych, którzy – jak przyznał gen. Cieniuch – „uczyli się musztry i konserwacji sprzętu”. Byli i nie byli żołnierzami. Byli, bo wciągnięto ich w mundur. Nie byli, bo nie przeszli pełnowymiarowego, profesjonalnego szkolenia. Nie mieli szansy służyć w misjach, nie mogli obsługiwać nowoczesnych systemów bojowych, nie budowali zdolności bojowej armii.

Reforma była więc odpowiedzią na rzeczywistość. Sygnały płynęły z samego wojska. Generałowie, którzy widzieli przepaść między armią NATO a rzeczywistością jednostek z Giżycka, Braniewa czy Orzysza, coraz głośniej domagali się zmiany.

Po wejściu Polski do NATO w 1999 r. stawało się jasne, że utrzymywanie przymusowego poboru nie pasuje do nowej doktryny. Sojusz stawiał na mobilność, interoperacyjność, wysokie kwalifikacje, gotowość do działań ekspedycyjnych. A tego nie dało się osiągnąć z dziewięciomiesięcznym poborowym, który w trzecim miesiącu uczył się jeszcze składać buty do szafki.

Modernizacja była koniecznością także z powodów finansowych. Choć armia zawodowa na poziomie jednostkowym jest droższa, nie wymaga corocznego kosztownego cyklu szkolenia nowych roczników. Zamiast tego buduje się kompetencje, doświadczenie, wyspecjalizowane kadry. Koszt jednostkowy rośnie, ale efektywność rośnie jeszcze bardziej.

Zmieniła się też sytuacja geopolityczna. Po zakończeniu zimnej wojny nie było już bezpośredniego zagrożenia konwencjonalną wojną. Polska nie spodziewała się ataku od wschodu. Groźby były nowe: asymetryczne, cybernetyczne, hybrydowe. Do ich odparcia potrzebna była elitarna armia, nie masowy pobór.

Wreszcie pojawiło się też pytanie o sens przymusu. Czy państwo, które nie potrafi dać młodemu człowiekowi dobrej edukacji, mieszkania ani sensownego startu w dorosłość, ma prawo przymuszać go do służby pod groźbą więzienia? I czy ten przymus jeszcze działa? Odpowiedź była negatywna.

W 2009 r. kwalifikacja wojskowa zastąpiła dotychczasowy pobór. Formalnie nadal zbierano dane o młodych obywatelach, ich stanie zdrowia, potencjale do ewentualnej służby. Ale obowiązek wcielenia zniknął. Od tej pory armia miała być zbudowana z ochotników – ludzi, którzy naprawdę chcą służyć. Jak mówił gen. Skrzypczak: „Tylko dobrze wyszkolony, zmotywowany ochotnik jest wartością dla armii”.

Psy ogrodnika szczekają

„Musimy odwiesić zasadniczą służbę wojskową” – gada mediom Sławomir Cenckiewicz, szef BBN bez dostępu do tajemnic wojskowych. Przypominając kogoś, kto widząc samochód hybrydowy, domaga się powrotu do furmanek.

Według najnowszych danych Wojsko Polskie liczy dziś ponad 210 tys. żołnierzy. MON szacuje, że liczba ta będzie rosła, bowiem trwa największy proces modernizacji i rekrutacji w historii III RP. Tymczasem w przestrzeni publicznej

coraz śmielej pojawia się idea „odwieszenia” przymusowego poboru. Pomysł, który co do zasady mógłby być rozważany w czasie wojny totalnej, dziś pojawia się na ustach osób, które z wojskiem mają tyle wspólnego co rezerwista z lat 80. z obsługą drona bojowego.

Cenckiewicz straszy perspektywą wojny z Rosją, cytuje premiera Tuska, sugeruje, że Europa jest bezbronna. W jego słowach pobrzmiewa echo starego myślenia o wojsku jako o strukturze masowej, przymusowej, opartej na liczbach, a nie jakości.

Problem w tym, że współczesna armia to nie powszechny pobór. To system wyszkolonych specjalistów, operatorów systemów rakietowych, ekspertów od cyberbezpieczeństwa, pilotów, logistyków, saperów. To nie są zadania dla człowieka po trzymiesięcznym przeszkoleniu z marszu, a tym bardziej nie dla chłopaka, który nie chce i nie umie służyć, ale został wcielony, bo tak stanowi paragraf.

Prezydent Nawrocki, odpowiadając na pomysły szefa BBN, twierdzi, że „nie ma dziś problemu z chętnymi do Wojska Polskiego”. Wskazuje na sukces dobrowolnej służby zasadniczej i popularność WOT-u.

Tymczasem społeczeństwo wydaje się zaskakująco zgodne. Sondaż pokazuje, że aż 59,4 proc. Polaków popiera ideę przywrócenia obowiązkowej służby wojskowej. Trudno oprzeć się wrażeniu, że wiele osób popierających pobór to ci sami, którzy nie potrafią wskazać, czym różni się kompania zmechanizowana od jednostki rozpoznawczej.

W rzeczywistości bowiem przywrócenie przymusowego poboru oznaczałoby cofnięcie armii o dwie dekady. A Wojsko Polskie XXI w. to nie armia od grochówki i musztry. To armia nowoczesna, zintegrowana z sojusznikami. W tej rzeczywistości przymusowy pobór nie jest rozwiązaniem – jest anachronizmem.

TADEUSZ JASIŃSKI

Człowiek, kolba i granica

Trepowisko grzęzawisko cd.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wczesnym lipcowym popołudniem 2025 r. na pograniczu polsko-białoruskim, w okolicy Michałowa (woj. podlaskie), kamera monitoringu uchwyciła to, o czym większość mediów wolałaby zapomnieć i to nie raz, ale wielokrotnie. Na nagraniu widać, jak żołnierz najpierw strzela gumowymi kulami do bezbronnej osoby, a potem bije ją kolbą karabinu. Ofiarą jest uchodźca z Afganistanu, człowiek, który szukał schronienia, a znalazł brutalność machiny wojskowej. Nagranie objawił w przeddzień wigilii na swoim kanale „Czaban robi raban” dziennikarz Piotr Czaban, który od lat dokumentuje kryzys humanitarny na polsko-białoruskiej granicy.

I to wideo obnaża coś więcej niż pojedynczy akt przemocy. Pokazuje, jak państwo, które obiecuje obronę i bezpieczeństwo, zaczyna upodabniać się do sił, przed którymi rzekomo ma nas bronić.

Poprzednie doniesienia Czabana wskazywały, że to nie pierwszy raz, kiedy żołnierze strzelają do migrantów, że strzały oddawano także „alarmowo”, choć nie w powietrze, a w kierunku ludzi, mimo że nie istniało żadne zagrożenie życia mundurowych.

• • •

W Białymstoku i Suwałkach, kilkadziesiąt kilometrów od miejsca nagrania, urządzono niedawno kolejne przysięgi żołnierskie. 87 ochotników dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej złożyło przysięgę w Białymstoku, a w 14. Pułku Przeciwpancernym w Suwałkach kolejne 57 osób dołączyło do wojskowych szeregów. Wystąpienia dowódców i żołnierzy podczas uroczystości pełne były frazesów o gotowości do obrony ojczyzny, szkoleniu na nowoczesnym sprzęcie, o honorze i ofiarności.

Wymiar tych ceremonii jest jednak dwojaki. Z jednej strony to patriotyczne uniesienia nowicjuszy, którzy wierzą, że służą jeno bezpieczeństwu kraju, a nie przemysłowi zbrojeniowemu i politycznym graczom, niekoniecznie polskiej i katolickiej proweniencji. Z drugiej – to świadectwo stopniowej, acz konsekwentnej militaryzacji całego społeczeństwa. Bo co innego oznacza armia zaangażowana na granicy bez wypowiedzenia wojny komukolwiek, jeśli nie sygnał: zagrożenie jest wszędzie, trzeba się bronić przed wrogiem?

Ten wróg jest dziś opisywany w polityce uśmiechniętej koalicji i jej akolitów jako „nielegalny imigrant”, „zagrożenie demograficzne”, „terrorysta”. To retoryka, która uzasadnia wszystko: odbieranie prawa do azylu, nieuzasadnione użycie broni, pushbacki, a nawet ukrywanie fizycznej i werbalnej brutalności szwejów.

Narracja strachu przed Rosją wzmocniona realnym konfliktem na Ukrainie staje się narzędziem legitymizacji rosnących uprawnień służb. To w połączeniu z zawieszaniem prawa do azylu pozwala państwu mówić: „Nie mamy czasu na prawa człowieka, mamy wroga na froncie”. W tym kontekście incydent z pobitym kolbą i postrzelonym gumowymi kulami 19-letnim Afgańczykiem nie jest anomalią, ale symptomem państwa, które coraz bardziej utożsamia bezpieczeństwo z represją, a obronę z agresją.

A jeśli ktoś zaczyna zadawać pytania, jak czyni to Piotr Czaban, słyszy albo milczenie, albo próbę odwrócenia uwagi: to imigrant był agresorem. W środkach masowego przekazu, które jeszcze relacjonują sytuację na pograniczu, powtarza się ten sam propagandowy wzorzec: wojsko jako bohater, uchodźca jako intruz. Ale kamera nie kłamie. I oto mamy dokument, nie narrację propagandową, gdzie to żołnierz używa przemocy wobec człowieka, który nie stawiał oporu.

JMP

eprasa.pl 36974e8f88

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Prokuratura Okręgowa w Katowicach skierowała do Sądu Okręgowego akt oskarżenia przeciwko 10 osobom, w tym dwóm byłym proboszczom bytomskich parafii. Sprawa dotyczy nieprawidłowości przy pozyskiwaniu środków publicznych na remonty i inwestycje w parafiach w latach 2014–2020. Postępowanie zostało wszczęte po zawiadomieniu CBA. Ks. Tadeusz P., były proboszcz parafii św. Jacka w Bytomiu, usłyszał siedem zarzutów, w tym doprowadzenie do niekorzystnego rozporządzenia mieniem na kwotę ponad 30 mln zł, przywłaszczenie mienia, pranie brudnych pieniędzy, posługiwanie się podrobionymi dokumentami i fakturami oraz składanie fałszywych zeznań. Ks. Marek P., były proboszcz parafii św. Małgorzaty w Bytomiu, został oskarżony o doprowadzenie do niekorzystnego rozporządzenia mieniem na kwotę ponad 2 mln zł.

✚ Trzy osoby zostały oskarżone m.in. o stosowanie gróźb karalnych wobec ginekolog dr. Gizeli Jagielskiej po tym, jak wykonała aborcję u pacjentki w dziewiątym miesiącu ciąży. Jednym z oskarżonych jest ksiądz Grzegorz J. z parafii w okolicach Rzeszowa. Duchowny został zatrzymany przez policję, kiedy przebywał u swoich rodziców w Krośnie, przesłuchany, a następnie zwolniony. Procedura nie spodobała się przemyskiej kurii, której rzecznik ks. Bartosz Rajnowski wyraził „stanowcze oburzenie sposobem potraktowania księdza" i nazwał je „przejawem walki z Kościołem katolickim". Zdaniem kurii zatrzymanie, założenie kajdanek i umieszczenie prowodyra w policyjnym areszcie było niepotrzebnym działaniem. Oskarżonym w tej sprawie grozi do trzech lat więzienia.

✚ Na Facebooku pojawiła się reklama zachwalająca mieszanki ziół na stawy. W materiale promocyjnym występuje kardynał Grzegorz Ryś, który swoje wystąpienie zaczyna od salta, a następnie opowiada, że dzięki ziołom może swobodnie pełnić posługę. To oczywiście oszustwo z użyciem deepfake'a do reklamowania podejrzanej strony. Zupełnie jak sam katolicyzm.

✚ Ministerstwo Sprawiedliwości skierowało do uzgodnień międzyresortowych i konsultacji publicznych projekt nowelizacji kodeksu karnego, który zakłada usunięcie kary pozbawienia wolności za przestępstwo obrazy uczuć religijnych. Zmiana dotyczy art. 196 k.k. Planowana nowelizacja jest bezpośrednią konsekwencją wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie Doroty Rabczewskiej przeciwko Polsce. Trybunał uznał, że skazanie piosenkarki za wypowiedź dotyczącą Biblii naruszyło art. 10 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, gwarantujący wolność wypowiedzi. W 2009 r. Rabczewska publicznie stwierdziła, że „bardziej wierzy w dinozaury niż w Biblię", przypisując jej autorstwo osobom „pod wpływem alkoholu i środków odurzających". Polski sąd przyklepał jej wówczas grzywnę w wysokości 5 tys. zł. Projekt nowelizacji zakłada usunięcie kary pierdla, pozostawiając grzywnę oraz ograniczenie wolności. Działania ministerstwa uznajemy tym samym za pozorowane.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Kac gigant po Kacmajorze

Dziś prawdziwych sekciarzy już nie ma

HBO Max serialem „Niebo. Rok w piekle" funduje nam nostalgiczną podróż do lat 90. Tomasz Kot gra charyzmatycznego guru i uzdrowiciela, postać inspirowaną Bogdanem Kacmajorem – urodzonym w 1954 r. w Elblągu prawdziwym guru i takim jak inni uzdrowicielem. To kolejna produkcja wspominająca czasy na tyle bliskie, że je pamiętamy, i na tyle dalekie, że je idealizujemy lub demonizujemy. Tak czy owak, chętnie do nich wracamy, żeby się rozrzewnić lub wkurwić.

Duch i materia

W latach 90. i na początku XXI w. temat sekt był bardzo atrakcyjny i zajmowali się nim wszyscy: od polityków i księży po straganowe przekupki. O powszechnym internecie nikt jeszcze nie śnił, toteż każda nowość i egzotyka budziły zainteresowanie podlane strachem. Sekty wyrastały jak grzyby po deszczu: wraz z rodzącym się kapitalizmem i demokracją Kościół kat. stracił monopol na rząd dusz i w ofertach duchowych zaczęto przebierać jak w ulęgałkach. Bywały sekty groźne i mniej groźne – wszystkie jednak w czambuł potępiane przez kler momentami tęskniący za komuną, która przynajmniej jasno wyznaczała barykadę: jak ktoś do czerwonych nie przystał, to z czarnymi trzymał – tertium non datur. A tu nagle pojawiły się Kościoły, ruchy, stowarzyszenia i Bóg wie, co jeszcze, na które tutejsi teologowie nie byli intelektualnie ani propagandowo gotowi.

Kapitalizm pojawia się tu nieprzypadkowo – w końcu religia to wielki biznes, a w warunkach wolnorynkowych mnożyła się konkurencja. Sekta Kacmajora jest tego raczkującego kapitalizmu flagowym wykwitem: została zarejestrowana jako spółka „Leczenie Duchem Bożym w Imieniu Jezusa Chrystusa przez Nakładanie Rąk". Ale spółka unikała spółkowania z systemem. Założona w Majdanie Kozłowieckim na Lubelszczyźnie komuna (tym razem w znaczeniu grupy ludzi żyjących razem) funkcjonowała na wariackich papierach, wyrzekając się konsumpcjonizmu, którym zachłysnęli się Polacy. Żyli po bożemu, ale na przekór Kościołowi kat., który był dla Kacmajora wcieleniem zła. Nic mu nie pasowało. „Światem rządzą trzy kurwy: Kościół, kapitalizm i komunizm" – mówi w serialu do jednego ze swoich uczniów wzorowany na Kacmajorze Piotr. Jak każdy oświecony znał jedynie słuszną drogę życia, śmierci i życia po śmierci.

Flupy z pizdy

Jego sekta już w latach 90. była obiektem zainteresowania, zwłaszcza że kręcili się wokół niej i w niej ludzie znani skądinąd, choćby z kulturowej awangardy. Jednym z członków Nieba był Zbigniew Sajnóg, pisarz i performer, związany z trójmiejską formacją Totart, z której wyszli tak znamienici artyści jak Tymon Tymański czy Paweł „Konjo" Konnak. Sajnóg znany jest do dziś adeptom polonistyki jako autor kultowego wiersza „Flupy z pizdy" opublikowanego na łamach pisma „bruLion", jednego z ostatnich ciekawych zjawisk w polskiej literaturze. Sajnóg – człowiek ewidentnie wrażliwy, skomplikowany i pokiereszowany – po wielu życiowych sztormach wrócił na łono Kościoła kat. W 2018 r. wystąpił w emitowanym w ówczesnej Kurwizji programie „Ocaleni", w odcinku o sektach (był przeciw). Burzliwą przeszłość wypominała mu „Wyborcza", demaskując go jako doradcę kandydata PiS na prezydenta Gdańska Kacpra Płażyńskiego. Później pracował w biurze poselskim tego polityka. Sajnóg nie jest wyjątkiem, a niemalże regułą. Jego kolegą z „bruLionu" jest choćby Robert Tekieli, ongiś literacki bluźnierca i okultysta-praktyk, dziś nawrócony na rzymski katolicyzm i wyrzekający się przeszłości dewot. A taki Terlecki to co za młodu robił? Hipiserka, trawa, klej, seks z Korą. Niegdysiejsi buntownicy na starość chwytają za różaniec i nogawkę Kaczora. Kto za młodu nie był socjalistą, ten na starość będzie świnią, a kto za młodu był niestroniącym od używek sekciarzem, ten wyląduje w PiS.



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Wszystko pod kontrolą

Kacmajor, Sajnóg – nazwiska jakby na zamówienie do filmu. Ale w Niebie te niespotykane nazwiska nie wystarczyły – guru nadawał członkom i samemu sobie nowe imiona. Nie jakieś tam zwyczajne, oklepane. Co to, to nie – Sajnóg sam miał aspiracje artystyczne, a jego inwencja w nazywaniu wyznawców dorównywała tej, którą wykazywali się natchnieni wariaci z Totartu. Tak oto wspomniany Sajnóg w Niebie ochrzczony został wpierw Aniołem Rowerowym, a później bardziej konwencjonalnym Ambasadorem. Oprócz niego we wspólnocie funkcjonowali m.in. Trójkątyzacja Kota, Apartament nr 8, Audii Quattro, I Śrubokręt Nie Pomoże, Płonąca Sałatka, Tęcza Atomowa. Sam Kacmajor nazwał się bliskim naszemu sercu imieniem Nie, swojej żonie zaś dał Bo, co pospołu tworzy „Niebo".

Niestety Niebo to nie tylko komuna nieszkodliwych hipisów z aspiracjami artystycznymi. Kacmajor – jak rasowy guru – kontrolował każdą sferę życia niebian, bo wiedział, co dla nich najlepsze. Członkowie sekty nie mogli chodzić do lekarza (w końcu Kacmajor był uzdrowicielem), do szpitali nie puszczał nawet ciężarnych, stąd pogłoski o śmierciach dzieci w sekcie – nigdy nieudowodnione. Szczepionki były zabronione, w czym był prekursorem na gruncie polskim. Guru regulował też pożycie wiernych – niebianie żenili się według jego widzimisię. Doprowadzało to do sytuacji dla pobocznych obserwatorów i wymiaru sprawiedliwości niedopuszczalnych, jak np. ślub 14-latka z 25-latką.

Pogarda dla pieniądza i konsumpcji nie sprawia magicznie, że przestaje się odczuwać głód. Gdy zabrakło kasy, wyznawcy Kacmajora zaczęli kraść – w poczuciu, że nie robią nic złego, bo na potrzeby kultu religijnego to się nie liczy. Inne zdanie miały na ten temat policja i sądy, ale to sługusy diabła. Co ciekawe, niektórzy żyjący do dziś byli członkowie sekty widziani tu i ówdzie w sieci wspominają czasy Nieba raczej z sentymentem niż z żalem. Wielu z nich trafiło do Kacmajora przeoranych przez życie: choroby, nałogi, przemoc domowa – wszystko to leczył guru swoją charyzmą i życiem we wspólnocie. Świat poza Niebem okazywał się nieraz bardziej pojebany i zły niż wymagania i humorki proroka z Elbląga.

Wczoraj i dziś

Współcześnie temat sekt został jakby porzucony, także przez Kościół kat. Niegdyś specami od nich byli dominikanie prowadzący Dominikańskie Centrum Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach.

Do pewnego momentu sektą nazywane było wszystko, co nierzymskokatolickie, ale wraz z rozwojem ekumenizmu kler trochę utemperował swój inkwizycyjny temperament, bo jednak „sekta" to nie komplement. No i okazało się, że wiele wspólnot powstających w łonie i jądrze Kościoła także nosi znamiona sekty,

więc trochę przypał. Sami dominikanie mieli u siebie Pawła M., duszpasterza akademickiego, który „wobec osób powierzonych jego pieczy duszpasterskiej stosował przemoc fizyczną, psychiczną, duchową i seksualną. Zakonne władze nie reagowały odpowiednio przez ponad 20 lat, narażając na krzywdę kolejne osoby" – jak informują braciszkowie.

Premiera serialu „Niebo. Rok w piekle" zbiega się z doniesieniami na temat wrocławskiej wspólnoty Agalliasis, skontrolowanej ostatnio przez kurię pod kątem nadużyć i odstępstw od doktryny. „Kościelna komisja ujawniła mechanizmy manipulacji, które przez lata funkcjonowały w grupie działającej przy jednej z wrocławskich parafii. Liderzy mieli przejmować kontrolę nad niemal każdym aspektem życia wiernych, narzucając im nawet wybór partnerów życiowych" – donosi Onet. Brzmi znajomo? Nic nowego pod słońcem. Kościół jak zwykle: najpierw walczy, a gdy widzi, że nie da rady zwyciężyć, anektuje zwyczaje przeciwnika.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Szalik grzeje głowę

Król kiboli u Królowej Polski



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pan prezydent znowu to zrobił! Znowu pojechał na Jasną Górę, znowu spotkał się z kibicami. Co było do przewidzenia, ale wzbudziło ogólnonarodową debatę na temat kibolstwa i statusu jasnogórskiego sanktuarium. W ubiegłym roku Karol Nawrocki jechał do Częstochowy jako kandydat, kibice zaś jako pogromcy komuny. „Raz sierpem, raz młotem, czerwoną hołotę!" – grzmieli chórem, a pretendent do tronu zapewniał dziatwę, że będzie walczył z lewactwem w szkole. Byli wtedy tacy, co krzyczeli (oczywiście nie tak imponująco jak Nawrocki i kibice) o profanacji świętego miejsca, ale przeor paulinów opiekujących się Jasną Górą zapewnił, że jest tam miejsce dla każdego i nie można odmawiać nikomu. Zwłaszcza przyszłemu władcy Polski i jego gwardii przybocznej.

W styczniu 2026 r. kandydat obywatelski Kaczyńskiego powrócił do Częstochowy jako pełnoprawna głowa państwa, którą kręci szyja ozdobiona szalikiem. Szalik z napisem „Ciebie Boga wysławiamy" i wizerunkiem Chrystusa wręczył Nawrockiemu na koniec kazania jego osobisty kapelan. Oznacza to chyba, że prezydent kibicuje drużynie Pana Boga. Bóg nie gra w kości, ale najwyraźniej harata w gałę.

W tym przypadku nikt nie śmiał się zająknąć o bluźnierstwie jak w sprawie wyrzucenia krzyża do śmietnika w szkole w Kielnie. Wykwity religijnego kiczu nie podpadają pod paragraf o obrazie uczuć religijnych,

zresztą kto by chciał zadzierać z kibolami. Możemy mieć rację, ale oni mają race i bardziej niebezpieczne sprzęty.

Jak raz w onetowskim podcaście „Rachunek sumienia" – do którego Tomasz Sekielski i Magdalena Rigamonti często zapraszają duchownych – wystąpił paulin Michał Legan, były rzecznik prasowy częstochowskiego sanktuarium. Przepytany na okoliczność odwiedzin Nawrockiego był bardzo dyplomatyczny. – Nie będę cenzurował prezydenta. Głowa państwa przybywa do najważniejszego duchowego miejsca w Polsce, koniec i kropka – uciął.

– Kapelanem prezydenta Nawrockiego jest ksiądz Wąsowicz, kapelan kiboli – dociskali dziennikarze. Legan na to: – Błagam, nie stygmatyzujmy ludzi. Mówmy kibiców, a nie kiboli. To nie są ani gorsi ludzie, ani gorsi Polacy, ani gorsi katolicy. Szukają swojej drogi. Jakbym powiedział lewaki, to... Dlatego nie mówmy kibole na ludzi, którzy przybyli na Jasną Górę z pobożności.

W krytyce paulinów i Nawrockiego pokutuje mit, jakoby Jasna Góra była jakimś apolitycznym miejscem bez światopoglądowej afiliacji, łączącym wszystkich Polaków. To nonsens. A że Nawrocki powitał się tam serdecznie z niejakim „Dragonem" skazanym nieprawomocnie na sześć lat więzienia za propagowanie nazizmu, kierowanie gangiem oraz pobicia? Nie pierwszyzna. Starczy wspomnieć, że 27 października 1940 r. sanktuarium odwiedził szef SS i ówczesny komisarz Rzeszy do Spraw Umacniania Niemczyzny Heinrich Himmler, witany z honorami przez paulinów. Nie jest to wydarzenie w historii miejsca wstydliwe. W 2020 r. zakonnicy wrzucili na Twittera wpis ze zdjęciami upamiętniający 80. rocznicę tego wydarzenia. Po burzy w mediach usunęli i przeprosili. Na oficjalnej stronie Jasnej Góry widniało też wspomnienie z wizyty Hansa Franka, który „dostrzega wpływ i znaczenie Matki Bożej i Jasnej Góry dla Polaków" w księdze pamiątkowej dokonuje wpisu: „Gdy wszystkie światła dla Polski zagasły, to wtedy zawsze jeszcze była święta z Częstochowy i Kościół". I to są właśnie tradycje pielęgnowane u stóp Czarnej Madonny.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 36974e8f88

Z ludźmi Kościoła interesów lepiej nie robić



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Umywanie rąk

Polskie prawo zna pojęcie bankructwa. Zna upadłość konsumencką, upadłość przedsiębiorców, restrukturyzacje, likwidacje, egzekucje komornicze, licytacje i syndyków. Zna nawet upadłość jednoosobowych działalności gospodarczych. A jednak jest jeden byt, który – choć formalnie podlega tym samym przepisom, w praktyce bankrutem nigdy nie zostaje. Parafia.

Ilekroć w mediach wybucha kolejna afera finansowa z udziałem księdza, powraca to samo pytanie: czy parafia może zbankrutować? Teoretycznie – tak. Praktycznie – wszyscy wiedzą, że do tego nigdy nie dojdzie.

Inwestor w sutannie

W Jaworkach i Szlachtowej pod Pieninami przez lata wiara katolicka miała twarz proboszcza, po którym został dług opiewający na kwotę ponad 2 mln zł i jeszcze 1000 euro. „Był świetnym gospodarzem i wspaniałym człowiekiem. Pod tym względem złego słowa o nim nie powiem” – mówiła mediom po odejściu proboszcza sołtys Jaworek. A ksiądz odszedł w lutym 2015 r., tłumacząc, że zdrowie nie pozwala mu dalej pełnić posługi. Musi odpocząć. Dopiero gdy sutanna zniknęła za zakrętem, rada parafialna zajrzała w papiery. Zaczęło się liczenie: „tu chyba jest błąd”. Nie było błędu. Były ponad 2 mln długu. W tym samym czasie zaczęli zgłaszać się wierzyciele. Lokalni przedsiębiorcy, budowlańcy, wykonawcy. Jedni z fakturami, inni tylko z notatkami, umowami na gębę, bo przecież ksiądz.

Okazało się, że parafia przez lata funkcjonowała jak przedsiębiorstwo inwestycyjne w sutannie. Remonty – owszem. Ale też ambitne projekty, jak odwiert geotermalny. Część inwestycji dofinansowana z Unii. Reszta – wkład własny. Kredyty. Pożyczki. Zaciągane w bankach, u prywatnych firm, u ludzi, którzy wierzyli, że Kościół to pewny dłużnik.

Nowy proboszcz wytrzymał dwa miesiące. Zobaczył papiery, wysłuchał wierzycieli, spojrzał na konto i wyjechał. Uznał, że nie podoła. Wtedy zapadła decyzja o delegacji do Tarnowa. Do biskupa. Góralom nie było łatwo prosić. Ale nie mieli wyjścia. Pojechali z prostym przekazem: parafia tonie.

Biskup przysłał nowego proboszcza – „ponoć dobrego menedżera” – i zadeklarował czasową pomoc w spłacie zobowiązań. Kuria powołała zespół ekspertów i zapowiedziała, że chwilowo przejmie spłatę kredytów. „Chwilowo” – słowo klucz, bo zostawała opcja sprzedaży działek. Parafialnych. Część już obciążona hipoteką, inne jeszcze wolne.

Dziś parafia tnie koszty, negocjuje z wierzycielami i modli się o cud anulowania kredytów.

Depozyty Ducha Swiętego

Ponad 27,3 mln zł. Tyle parafia św. Jacka w Bytomiu ma oddać. Nie „może”, nie „powinna rozważyć”, tylko ma zwrócić – wraz z odsetkami – pieniądze z Unii Europejskiej. Kwotę, przy której parafialna taca wygląda jak zbiórka na lizaki.

Sprawa dotyczy dwóch projektów realizowanych w latach 2018–2021, finansowanych z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego na lata 2014–2020. Jeden dotyczył rewitalizacji obszarów zdegradowanych, drugi – zachowania, ochrony i promowania dziedzictwa kulturowego. Brzmi pięknie, a zakres prac rzeczywiście robił wrażenie. Kościół św. Jacka przeszedł gruntowny lifting: ściany, boazerie, stropy, nowa instalacja elektryczna, konserwacja ławek i organów, modernizacja wieży i sygnaturki, remont dachu i elewacji. Do tego adaptacja kaplic na cele dydaktyczno-ekspozycyjne. Tyle że w papierach coś się nie zgadzało. Bo żeby dostać unijne miliony, trzeba było wykazać, że parafia ma swoje. W 2018 r. takie dokumenty przedstawiono. Bankowe potwierdzenia, depozyty, liczby z odpowiednią liczbą zer. Problem w tym, że – jak wyszło później – bank o tych pieniądzach nic nie wiedział.

W październiku 2024 r. zarząd województwa śląskiego rozwiązał umowy o dofinansowanie. W kwietniu 2025 r. zapadły uchwały wszczynające procedurę zwrotu dotacji. Postępowanie wszczęła prokuratura. Zarzuty usłyszało 10 osób: były proboszcz parafii św. Jacka w Bytomiu, przedsiębiorcy, którzy uczestniczyli w inwestycjach finansowanych z UE, ludzie od faktur, robót, wycen – przywłaszczenie mienia, oszustwo, pranie brudnych pieniędzy, posługiwanie się podrobionymi dokumentami.

Odpowiedzialni za księdza

Baranowice to dzielnica Żor, gdzie ludzie wiedzą, kto kiedy zmienił samochód, kto pożyczył, a kto oddał i komu dach przecieka od lat. Kościół stoi tu od 1987 r. i od tego czasu – jak mówią mieszkańcy – czeka na remont. Czekał długo. Aż w końcu pieniądze na ten remont zniknęły.

Historia zaczęła się niewinnie. Proboszcz zaczął mówić o termomodernizacji. Pojawiły się plany, wyliczenia, broszury. Kilka lat temu pleban rozesłał do mieszkańców Baranowic informator, który dziś czytany jest jak akt oskarżenia. Stało w nim, że „Wstępne rozmowy dotyczące kosztów termomodernizacji mówią o kwocie rzędu około 1,5 mln zł”. Potem następowała matematyka duszpasterska: „W Baranowicach mieszka około 500 rodzin. Przy hipotetycznych kosztach 1 500 000 zł daje to kwotę około 3000 zł na jedną rodzinę”. Rozłożone na pięć lat – „600 zł rocznie”. „Nie mówimy o astronomicznych kwotach”. Ale był warunek. Napisany wielkimi literami: „WSZYSCY BIERZEMY ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA TO DZIEŁO – KAŻDY Z NAS”. I ludzie brali. Starsze osoby odkładały z emerytur. Młodsi rezygnowali z wakacji. Proboszcz potrafił przypominać, naciskać i prosić o pożyczki.

I nagle podczas zebrania rady parafialnej proboszcz przyznał, że ma poważne kłopoty finansowe. Milion złotych – według różnych relacji „blisko”, „około”, „ponad” – zniknął. Lud Boży mówił, że na hazard i wypasione wakacje. Proboszcz wszystkiemu zaprzeczył. Twierdził, że nie było hazardu. Według jego wersji padł ofiarą oszustwa. Stracił pieniądze, inwestując m.in. w kryptowaluty.

Atmosfera w Baranowicach gęstniała. Msze zaczęły odbywać się nieregularnie. Część wiernych przestała przychodzić do kościoła. Podczas jednej z mszy proboszcz przepraszał. Prosił o modlitwę. Sprawa trafiła do kurii, policji i prokuratury. Biskup zlecił audyt. 9 września kuria zawiesiła proboszcza. Wyznaczono tymczasowego administratora. Odbyło się nadzwyczajne spotkanie rady parafialnej z kanclerzem kurii. Dziś w Baranowicach zastanawiają się, czy parafia nie zbankrutuje. Bo milion złotych w małej wspólnocie to nie jest błąd w księgach. To wyrok.

Zdalnie transferujący

Ponad 1,2 mln zł. Tyle dotacji publicznych z Ministerstwa Kultury i z gminy Legnickie Pole trafiło na konta parafii, by ratować miejscową bazylikę i kościół filialny w Gniewomierzu. Tyle też według ustaleń sądów dwu instancji przywłaszczył były proboszcz.

Schemat był prosty. W latach 2019–2021 duchowny korzystał z programu zdalnego dostępu. Narzędzia, które pozwala przejąć kontrolę nad komputerem i kontem z dowolnego miejsca. Dzięki temu przekierowywał środki z konta parafii, a ślad – jak ustaliła prokuratura – urywał się na rachunkach kryptowalutowych. Nieuchwytnych. Gdy sprawa wyszła na jaw, ksiądz został zawieszony, a diecezja złożyła zawiadomienie do prokuratury. Ale było już za późno na ratowanie pieniędzy.

Proces ruszył w 2022 r. Prokuratura zarzuciła Włodzimierzowi G. przywłaszczenie ponad 1,2 mln zł oraz wypłacanie części środków do własnego użytku. Sąd w styczniu 2024 r. skazał klechę na dwa lata odsiadki, 15 tys. zł grzywny i obowiązek naprawienia szkody. Apelacja obniżyła karę do 14 miesięcy bez żadnych zawiasów. Kuria legnicka zaczęła więc sprzedawać majątek. Grunty. Działki. Dotacja z samorządu – 180 tys. zł – została rozliczona w sposób nietypowy, ale skuteczny.

Do oddania pozostaje jeszcze ponad milion złotych z Ministerstwa Kultury.

Przejedzona ekspresówka

Jeżowe to taka miejscowość, w której wielkie pieniądze pojawiają się rzadko i zawsze mają konkretne przeznaczenie. Dlatego gdy w 2020 r. na konto parafii wpłynęły setki tysięcy złotych od Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad za grunty zabrane pod budowę drogi ekspresowej, ludzie mówili o szczęściu. Tymczasem z parafialnego konta zniknęło ponad 600 tys. zł. A parafia, zamiast planować inwestycje, liczy straty i czeka na wyrok, który może zdecydować, czy zacznie się zwijanie majątku, sprzedaż działek i ciche bankructwo wspólnoty.

Na ławie oskarżonych zasiadł 73-letni były proboszcz. Facet, który kierował parafią od 1994 do 2022 r. Zawiadomienie złożył Sandomierski Sąd Biskupi. Bo to nie parafianie pierwsi pobiegli na policję. To Kościół, gdy zajrzał w papiery – a właściwie w ich brak – uznał, że sprawa wymknęła się spod kontroli.

Prokuratura zarzuciła klesze przywłaszczenie 601 503 zł i 75 gr. Drugi zarzut dotyczy usunięcia dokumentów finansowych parafii, w tym księgi rachunkowej. Ksiądz nie przyznaje się do winy. Według niego rok 2020 był dla parafii czasem finansowej zapaści. Lockdowny, zakazy uczestnictwa w nabożeństwach, strach wiernych. Więc w niedziele taca nie przekraczała 1000 zł, zazwyczaj było 600, 700 zł. A parafia musiała funkcjonować – ogrzewanie gazowe, prąd, duszpasterstwo, zaplanowane remonty, pielgrzymki, spotkania wspólnot, świeczki, peleryny dla ministrantów, 80 kg cukierków na św. Mikołaja. Były też inwestycje. Ogrodzenie cmentarza. Parking przy kościele. Tyle że na to nie było faktur. Ani ksiąg. Bo według przepisów kościelnych każda parafia musi prowadzić księgę rachunkową. Potwierdził to ekonom diecezjalny. „W sprawozdaniu za 2020 r. przysłanym przez proboszcza z Jeżowego była fikcja. Jako wpływy wykazano 420 tys. zł, mimo że z samego tylko tytułu alienacji gruntów parafia otrzymała 702 tys.” – mówił w sądzie.

Jeżowe to historia o latach zaufania, o parafii, która „funkcjonowała prężnie”, i o mechanizmie, który działał bez kontroli, bo „księdzu się ufa”.

Kropidło dezynfekcji

W rybnickich Niedobczycach od lat mówiło się, że nowy kościół rośnie wolniej niż ceny materiałów budowlanych. Fundamenty są, mury pną się w górę, ale nabożeństwa wciąż odprawiane były w baraku. Przez 16 lat wierni słyszeli, że „już za chwilę”, „już niedługo”, „jeszcze tylko ten etap”.

Nowy proboszcz, obejmując parafię po swoim poprzedniku, nie spodziewał się, że zamiast planów duszpasterskich będzie studiował umowy, wyroki sądowe i wyciągi bankowe. A właśnie w papierach znalazł „trupa w szafie”. A nawet kilka. W tym dług przekraczający milion złotych. I to nie w jednym miejscu, ale rozrzucony po różnych zobowiązaniach.

Najgłośniejszym wątkiem afery stała się umowa z Orlenem. Podczas pandemii COVID-19, w 2020 r. ówczesny proboszcz ks. Dariusz K. podpisał kontrakt na zakup płynów do dezynfekcji za 441 tys. zł. Problem w tym, że zrobił to mimo wyraźnego sprzeciwu kurii i bez zgody ekonoma archidiecezji. Archidiecezja do dziś nie wyjaśniła, jak do tego doszło.

Plan był prosty i w teorii pobożny. Płyny miały być sprzedawane wiernym w formie „cegiełek”, a dochód miał zasilić budowę nowej świątyni. Pandemia jednak minęła szybciej, niż ktokolwiek przewidział, a zainteresowanie płynami od proboszcza okazało się znikome. Towar zalegał w magazynach. Część miała zniknąć. Ktoś coś wyniósł, ktoś czegoś nie dopilnował. Efekt był jeden: do spłaty pozostało około 221 tys. zł. Orlen poszedł do sądu.

W maju zapadł nakaz zapłaty. Parafia złożyła sprzeciw, ale jak ostrzega nowy administrator, jeśli wyrok zostanie utrzymany, koszty sądowe i odsetki mogą sięgnąć kolejnych 400 tys. zł.

To jednak był dopiero początek. W księgach – a właściwie w tym, co z nich zostało – znalazł się kredyt inwestycyjny zaciągnięty kilka lat wcześniej. Kredyt, który wraz z odsetkami urósł do ponad 400 tys. zł. Do tego doszła spółka parafialna o wdzięcznej nazwie Różańcowa, powołana do produkcji wkładów do zniczy. Miała być dodatkowym źródłem dochodu. Zamiast tego wygenerowała straty – według różnych wyliczeń od 65 do niemal 100 tys. zł. Na jej konto trafiło co najmniej 131 tys. zł z parafialnej kasy.

Jakby tego było mało, parafia ma do oddania 200 tys. zł wykonawcy stolarki okiennej. Zaliczka została wpłacona. Okien – nie ma. I jeszcze prywatna pożyczka. 200 tys. zł. od osoby fizycznej, zabezpieczone hipoteką na działce, na której stoi nowo budowany kościół. Świątynia jako zastaw.

W tle tej historii pojawia się jeszcze wątek finansowania samej budowy kościoła. W kwietniu 2020 r. kuria zgodziła się na kredyt do 1,5 mln zł. Bank przyznał 1,3 mln w dwóch transzach. Pierwszą poręczyła kuria. Przy drugiej – odmówiła. Roboty trwały, koszty rosły, finansowanie się urwało. I wtedy pojawiła się prywatna pożyczka z hipoteką, na którą kuria ostatecznie wyraziła zgodę.

Dziś w kasie parafii jest kilkanaście tysięcy złotych. Na koncie – niespełna dwa tysiące. Wartość kościoła szacuje się na 8–12 mln zł. W Niedobczycach mówi się już nie o remoncie, nie o terminie oddania świątyni, ale o tym, kiedy komornik zapuka do drzwi parafii.

• • •

Jeżeli zobowiązanie zostało zaciągnięte przez księdza jako osobę fizyczną, odpowiada on swoim prywatnym majątkiem. Komornik może zająć wynagrodzenie, rachunek bankowy, samochód czy nieruchomość. Ale tylko wtedy, gdy formalnie należy ona do duchownego. Jeżeli samochód czy nieruchomość są zapisane na parafię, a nie na księdza, komornik nie może ich ruszyć. Schody zaczynają się wtedy, gdy dłużnikiem jest sama parafia.

A parafia, zgodnie z polskim prawem, ma osobowość prawną. Jest bytem odrębnym. Może zawierać umowy, zaciągać zobowiązania, pozywać i być pozwana. Teoretycznie więc może też odpowiadać całym swoim majątkiem. Teoretycznie. Bo prawo przewiduje tu katalog wyjątków tak długi, że z egzekucji zostaje cień.

Przedmioty służące kultowi religijnemu są wyłączone spod egzekucji. Nie można zająć ołtarza. Nie można sprzedać monstrancji. Nie można wystawić na licytację obrazu Matki Boskiej. Nie można też – i to jest kluczowe – zająć samego kościoła. Ustanawianie hipoteki na budynku świątyni lub na gruncie, na którym ona stoi, jest w praktyce bezsensowne. Hipoteka istnieje na papierze. W rzeczywistości jest martwa.

Dlatego prawo polskie dopuszcza bankructwo parafii tylko na papierze. W kodeksach, komentarzach i akademickich rozważaniach. W rzeczywistości parafia nie upada. Zmienia proboszcza. Zaciąga kolejne zobowiązania. Prosi o pomoc kurię. I czeka. Bo kościoła nikt nie zlicytuje.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 36974e8f88

Rozstrzygniecie Plebiscytu „Przeglądu Sportowego” na 10 najlepszych sportowców roku zapamiętamy jako najnudniejszą imprezę w jego 100-letniej historii.

Bal z SMS-ami



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Sportowcem, a raczej sportsmenką roku 2025 została Klaudia Zwolińska, wyprzedzając Igę Świątek i Wilfredo Leóna. Z wyborem kibiców się nie dyskutuje, ale miło mi, że docenili naszą kajakarkę górską, która podczas mistrzostw świata w Australii w trzy dni zdobyła trzy medale, w tym dwa złote. W październiku zaraz po mistrzostwach w Penrith poświęciłem Klaudii Zwolińskiej tekst, zwracając uwagę, że jej kandydaturę w Plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na najlepszego sportowca roku trzeba będzie brać poważnie pod uwagę. Kibice, wśród nich na pewno miłośnicy kajaków, a jest ich naprawdę wielu, wzięli kandydaturę Klaudii na serio.

Nie znałem Klaudii Zwolińskiej wcześniej i w ogóle niewiele o niej wiedziałem – w czym nie różniłem się od większości sympatyków sportu – poza tym, że podczas udzielania wywiadów często używa słówka „kurde”, co mnie akurat nie razi, bo mimo filologicznego wykształcenia nie jestem purystą językowym. Pamiętałem też, że zdobyła srebrny medal olimpijski w Paryżu, ale to akurat nie było w 2025 r., więc do najnowszego plebiscytu już się nie liczyło.

Nuda na siedząco

O wyborze kibiców trudno dyskutować, ale o organizacji uroczystości można i trzeba. Trwała cztery godziny. Była beznadziejnie nudna.

Organizatorzy – redakcja „Przeglądu Sportowego”, TVP oraz portalu Onet – za punkt honoru wzięli sobie podlizanie się przeróżnym sponsorom. Momentami można było odnieść wrażenie, że są oni ważniejsi od zawodniczek i zawodników.

Wybór Teatru Wielkiego jako miejsca Balu Mistrzów Sportu jest, moim zdaniem, mocno dyskusyjny. Co to za bal, na którym przez cztery godziny siedzi się o suchym pysku w teatralnych krzesełkach? Nie z tym kojarzy się karnawałowa impreza.

Wszystko musiało trwać tak długo, żeby telewidzowie mogli wysyłać do organizatorów płatne SMS-y w celu ostatniego skorygowania wyników i podreperowania budżetu imprezy. Czas wypełniły występy artystyczne, na szczęście krótkie, ale przede wszystkim wręczanie nagród specjalnych połączone z włażeniem w dupę sponsorom i instytucjom.

Rozumiem, że sportowcy dziękują sponsorom, bo w dzisiejszym wyczynie bez pieniędzy nie da się niczego osiągnąć. Rodzice, nawet ci z klasy średniej, mogą łożyć na treningi swojej pociechy tylko do pewnego momentu. Rajdowiec Mikołaj „Miko” Marczyk musiał sobie przygotować zgrabną formułkę, aby wymienić wszystkich dobroczyńców. Opowiadał ze sceny, w jaki sposób jechał na Bal Mistrzów Sportu, jakim samochodem, gdzie tankował, gdzie wypił kawę i na jakich znakomitych oponach (chyba coś przeoczyłem, ale było tego dużo).

Dla organizatorów okazją do lizusostwa były nagrody specjalne. Przyznaję, o ile u sportowców mnie to nie raziło, o tyle w ich ustach budziło niesmak.

Nagród specjalnych namnożono tyle, że trudno je wszystkie wymienić. Co tu dużo mówić, statuetka Czempiona mocno się zdewaluowała niczym złotówka za czasów rządów PiS. Wyboru kibiców – co wciąż powtarzam – nie można kontestować, ale decyzje bliżej nieokreślonej kapituły rozdzielającej nagrody jak najbardziej podlegają krytyce.

Tych dodatkowych nagród było osiem czy dziewięć (zależy jak liczyć), prawie tyle, ilu wyróżnionych sportowców. Rozumiem jeszcze statuetkę dla trenera roku i drużyny roku, ale dlaczego osobno mecenas sportu dzieci i młodzieży, a osobno mecenas sportu? Dlaczego Czempionem wyróżniono stołeczny tor wyścigów konnych na Służewcu, organizatora Wielkiej Warszawskiej, jako wydarzenie roku? Naprawdę nie było większych wydarzeń czy chodziło tylko o podlizanie się pani prezes Totalizatora Sportowego, który duże sumy łoży na sport i nie jest to żadna łaska, bo do tego został powołany i po to w grach hazardowych zdziera z ludzi pieniądze?

Deweloper roku

Nagrodzenie Czempionem Stulecia Justyny Kowalczyk i Roberta Lewandowskiego też wzbudza wątpliwości. Oboje są wielkimi sportowcami. Justyna Kowalczyk, charakterna babka, pięciokrotnie wygrywała Plebiscyt „Przeglądu Sportowego” (nikt tyle razy nie dostąpił tego zaszczytu), ale wymieniając ze sceny jej wspaniałe i prawdziwe cechy charakteru, można sobie było darować słówko „uczciwość”, wszak w 2005 r. była zdyskwalifikowana za stosowanie dopingu.

Robert Lewandowski – wiadomo – najlepszy polski piłkarz w historii, gra jeszcze i jak zapowiedział, łącząc się przez internet z Teatrem Wielkim, grać będzie dopóty, dopóki biega szybciej niż większość osób siedzących na widowni. Ale czy Justyna Kowalczyk i Robert Lewandowski są najlepszymi sportowcami stulecia? Na pewno są najlepszymi sportowcami ostatnich lat. A gdzie Irena Szewińska?

Szczytem żenady i lizusostwa była nagroda XXI w. Dostała ją deweloperska firma Profbud. Jej prezes w długaśnej dziękczynnej przemowie plątał wątki, zamieszał do niej nawet papieża Jana Pawła II, brakowało tylko Najświętszej Marii Panny. Chodziło oczywiście o mieszkania, jakie jego firma ufundowała dla złotych medalistów igrzysk olimpijskich w Paryżu, a ponieważ taki medal zdobyła tylko Aleksandra Mirosław, poszerzyła ofertę dla medalistów srebrnych.

Profbud – jak zapowiedział prezes – nadal nagradzać będzie sportowców kluczami do mieszkań i zapewne dlatego otrzymał na scenie Czempiona. Skojarzyło mi się, że za poprzedniego ustroju klucze do własnego mieszkania wybitni sportowcy otrzymywali z rąk sekretarzy Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ale jakoś nikomu z „Przeglądu Sportowego” nie przyszło do głowy, by wyróżniać ich nagrodą XX w. Zresztą takiej nie było. To najnowszy wymysł.

Tajemnica zamkniętego pokoju

Psioczę na galę w Teatrze Wielkim, ale parę razy się wzruszyłem. Zobaczyłem wiele osób, które znam, o których pisałem albo przeprowadzałem z nimi wywiady. Fajnie było zobaczyć Włodka Szaranowicza, z którym relacjonowaliśmy niejedne zawody, a który – co nie jest tajemnicą lekarską – zmaga się z poważną chorobą. Przypomniałem sobie poprzedni bal, o którym opowiadał mi mój przyjaciel Maciek Petruczenko, przysłał także zdjęcia, które przechowuję w mojej smartfonowej galerii. Wkrótce po balu zmarł i teraz organizatorzy – za co jestem im bardzo wdzięczny – przypomnieli Maćka. Była to ważna osoba dla polskiej lekkoatletyki i dziennikarz najdłużej (ponad 50 lat!) nieustannie pracujący w „Przeglądzie Sportowym”. Zaczynał kilka lat przede mną i pomagał nieśmiałemu stażyście stawiać pierwsze kroki w zawodzie, o czym nigdy nie zapomnę.

Bardzo podobały mi się spontaniczne i nieprzygotowane z góry wypowiedzi zwyciężczyni Klaudii Zwolińskiej. Określiła siebie jako „chaos”, który tylko dzięki porządkowi utrzymywanemu przez zespół może osiągać sukcesy. W ten „chaos” nie bardzo chce mi się wierzyć, ale porządek w zespole na pewno jest konieczny, nie tylko zresztą w kajakarstwie. W ogóle kapitalne są sportsmenki z gór: Klaudia, Justyna Kowalczyk, Kasia Niewiadoma. Mają w sobie coś, czego podrobić się nie da.

No dobrze, opowiedziałem, jak w tym roku wyglądał Bal Mistrzów Sportu i wybór najlepszej dziesiątki. Jak to było dawniej, oglądałem na własne oczy, bo pracowałem w latach 70. minionego wieku w „Przeglądzie Sportowym”, jedynym wówczas organizatorze plebiscytu, bez wspomagania przez stacje telewizyjne czy portale internetowe, jak to ma miejsce obecnie.

I dziś, i dawniej ważny był aspekt komercyjny. Nie głosowano przy pomocy płatnych SMS-ów z tej prostej przyczyny, że telefony komórkowe, nie mówiąc już o smartfonach, należały do dalekiej przyszłości. Głosowano przy pomocy kuponów drukowanych na łamach „Przeglądu Sportowego”, co podnosiło wyniki sprzedaży gazety. To nie były żarty. Listonosz, przeklinając zapewne w duchu cały ten plebiscyt, taszczył do redakcji – bez żadnej przesady – wielkie worki pełne kart pocztowych z naklejonymi na nie wypełnionymi kuponami.

Wszystko trafiało pod opiekę red. Zygmunta Weissa, przedwojennego olimpijczyka, później dziennikarza, który konkursowym komisarzem był jeszcze długo po przejściu na emeryturę. Zyzio – mimo młodego wieku należałem do tej grupy dziennikarzy, którzy mieli prawo zwracania się do niego w ten poufały sposób – rzetelnie podliczał głosy i wszystko przechowywał w zamkniętym pokoju.

Wyniki – podobnie jak dziś – utrzymywane musiały być w tajemnicy do ostatniej chwili. Zyzio niczym lew walczył o to, by nikt ich nie poznał. Był jednak pewien szkopuł. Jakieś dwa tygodnie przed balem należało wysłać do 20 osób z plebiscytowej czołówki pieniądze na bilet kolejowy do Warszawy i zarezerwować stoliki w restauracji. Zajmowały się tym sekretarki, a to już okazywało się szczeliną, przez którą plebiscytowa tajemnica mogła przenikać. My w redakcji co nieco więc widzieliśmy.

Władysław Gomułka mistrzem sportu

Każdy sportowiec ma swoich fanów, którzy starają się wywindować go na plebiscytowej liście. To kosztowny zabieg. Teraz trzeba zbierać kasę na płatne SMS-y, a za moich czasów niektórzy kibice wykupywali wszystkie egzemplarze „Przeglądu Sportowego”, jakie dowieziono do kiosku, by wyciąć z nich kupony i wypełnione wysłać do redakcji. Byli tak chytrzy, że na pierwszym miejscu umieszczali swojego wybrańca, ale na pozostałych mniej oczywiste nazwiska, aby ich punkty nie miały znaczenia. W wielkiej masie kuponów i tak wszystko się wyrównywało.

Opowiadano mi, że w latach, których nie mogę pamiętać, zmarły w minionym roku w wieku 93 lat Witold Duński, redaktor naczelny tygodnika „Sportowiec”, wywierał naciski na Zygmunta Weissa, aby lansował w plebiscycie jego siostrę Elżbietę Duńską-Krzesińską, fenomenalną lekkoatletkę, mistrzynię olimpijską w skoku w dal z Melbourne w 1956 r. i srebrną medalistkę z Rzymu z 1960 r. „Złota Ela” adwokata nie potrzebowała, była powszechnie uwielbiana, a Zyzio Weiss – jak zwykle – nieugięty.

W SMS-owych plebiscytach trzeba wybierać z listy kandydatów zaproponowanej przez redakcję, z technicznego punktu widzenia nie da się inaczej. Podczas głosowania na kuponach wyciętych z gazety żadnych ograniczeń nie było. Zyzio Weiss trzymał wszystkie kupony pod kluczem, ale czasem wynosił nam takie, na których za najlepszego sportowca ktoś uznał Bolesława Krzywoustego albo Władysława Gomułkę.

Bal mistrzów sportu w pierwszy weekend nowego roku był wielkim świętem. Zasada obowiązywała jedna: oprócz zaproszonych sportowców wszyscy za wstęp płacili, nawet towarzysze z KC PZPR. My, młodzi dziennikarze, mieliśmy pewną zniżkę, ale w Hotelu Europejskim umieszczano nas nie na głównej sali, lecz w podziemnym barku, zwanym przez warszawskich bywalców lokali rozrywkowych kamieniołomami. Myślę, że decydowały o tym nie tylko względy ekonomiczne, nie bez znaczenia był fakt, że wśród przeglądowej młodzieży wódka była bardzo popularna, a takie święto jak Bal Mistrzów Sportu – okazją do jej nadużywania. Istniała obawa, że w stanie po spożyciu wobec wspaniałych zaproszonych gości któryś z nas może narobić redakcji wstydu. I to się zdarzało, ale o tym cicho sza. Dodam tylko, iż nigdy nie wpisałem się na listę hańby. W momencie gdy moja ówczesna małżonka Grażyna uznała, że przeholowałem, brała mnie pod ramię i wyprowadzała do taksówki.

Tak czy owak, do słynnej porannej jajecznicy nigdy nie dotrwałem, choć uczestniczyłem w kilku, czy nawet kilkunastu balach.

WOJCIECH MITTELSTAEDT

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 14.01.2026 r.

eprasa.pl 36974e8f88

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Czołem, faszyści! – wrzeszczy Nawrocki, a jego mocny głos niesie się aż do nieba.

– Czołem, panie prezydencie! – odpowiadają faszyści. Kibole. Dilerzy. Sutenerzy. Szmuglerzy. Szermierze maczet i kijów bejsbolowych. I ich kapelani.

Potem spotkanie w wąskim gronie. Kapelani i reprezentanci kiboli, faszystów, dilerów, sutenerów, szmuglerów, oszustów i damskich bokserów. Elita. Crème de la crème. To po francusku.

– Wiem, co czujecie – mówi Nawrocki głosem pełnym empatii i zrozumienia.

Jestem jednym z was – mówią nieme oczy Nawrockiego.

– Dziękujemy – odpowiadają przestępcy. „Dragon", „Sragon", „Misiek", „Wielki Bu", „Mały Bu", „Bardzo Mały Sru", „Szogun", „Srogun", „Gebels", „Srebels".

– Pomożemy – odpowiadają na niezadane pytanie i cytują samych siebie: – Tusk, matole, twój rząd obalą kibole.

Nawrocki zna ten suchar, mimo to śmieje się, pokazując zęby mocne jak wilcze, niedźwiedzie, rosomacze. Rekinie.

Śmieją się kapelani. Zęby zjedli na posłudze takim wilkom, niedźwiedziom i rosomakom jak kibole. Teraz jeden z kapelanów zjada zęby na posłudze takiemu rekinowi jak prezydent.

Śmieją się kibole. Zębami wybitymi w ustawkach, w aresztach i więzieniach, na ringach, matach i w heksagonach. Zębami wstawionymi przez dentystów uzależnionych od śniegu.

– Zrobimy to, czego nie wypada zwykłemu wojsku – mówią.

– Nie. – Nawrockiemu rekini uśmiech nie schodzi z ust. – Jeszcze nie. Oni sami się wykończą – dodaje po chwili i na moment robi poważną minę przeciwnika rządu Tuska. Minę patrioty zatroskanego o los dzieci, starców i kobiet.

Prezydent mocniej ściska biało-czerwony szalik z napisem „Polska".

Kibole zdejmują koszulki, żeby pokazać tatuaże: hakenkrojce, rajchzadlery, totenkopfy. Runy i esesy. Osiemnastki i portrety wodza. Wodza z dużej litery. Firera. Niemcy dla Niemców. Polska dla Polaków. Dla białych polskich dzieci, starców i kobiet. Hajhitler! Taknamdopomóżbóg!

Nawrocki powraca do szczerzenia się. Rozumie ten zapał. Tę energię drzemiącą w wyćwiczonych na siłowniach ciałach. W wybitych zębach i totenkopfach. W kijach bejsbolowych.

Prezydent powstaje. Kibole powstają. On się żegna i oni się żegnają. Znakiem krzyża i ze sobą. Jak ojciec z synami.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA obejrzała „Norymbergę" i jest pod wrażeniem. **JOANNA SENYSZYN** jeszcze nie obejrzała, bo operuje oko.

Senyszyn: – Naprawdę? Tak ci się podobała?
Wołk-Łaniewska: – Tak i nie.

– Ależ oczywiście. Musisz coś zamarudzić.
– Jakbyś mnie nie znała. Otóż jest to bardzo dobry film, tylko nieco – jak by to ująć – redukcjonistyczny.

– A co zredukował?
– ZSRR. Na początku pojawia się krótki dialog o tym, że na proces norymberski musi się zgodzić Związek Radziecki – ale potem już jest kompletnie nieobecny. Nawet jak flaga radziecka wisi nad trybunałem, to tak ją zwinęli, żeby się nie dała poznać, a z filmu jasno wynika, że drugą wojnę światową wygrała Ameryka z niejaką pomocą Anglii. A potem się dziwimy, że wysoka przedstawicielka UE do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa mówi, że informacja, że Rosja i Chiny pokonały nazizm, to dla niej „coś nowego".

– Widzę, że masz ochotę przypomnieć głupotę, jaką palnęła Kaja Kallas na konferencji Instytutu UE Studiów nad Bezpieczeństwem…
– Bardzo. Wygłosiła otóż monolog o tym, że kiedy „Rosja zwróciła się do Chin: wy i my walczyliśmy w II wojnie światowej, wygraliśmy II wojnę światową, pokonaliśmy nazizm", to ona sobie pomyślała: „OK, to coś nowego". No ale „obecnie ludzie nie czytają zbyt wiele i nie pamiętają historii, co widać po tym, że kupują tę narrację"…

– To akurat było trafne i wyjaśniło, dlaczego plecie bzdury i liczy, że uczestnicy konferencji też z nieuctwa kupią jej narrację. Niewiedza jest atrybutem dzisiejszych polityków. Na przykład według Beaty Szydło Polska wstąpiła do Unii Europejskiej w 1992 lub 1993 r…
– A Dariusz Joński, jeszcze jako rzecznik SLD, powiedział, że powstanie warszawskie było w 1988, a stan wojenny w 1989 r. Dziwna koincydencja, nawiasem mówiąc. Ale ja jestem nawet skłonna zrozumieć, że ktoś nie pamięta dat… Ja na przykład pamiętam tylko daty wyborów.

– Wszystkich?
– Nie, tylko prezydenckich i parlamentarnych – ale na ich podstawie porządkuję całe swoje życie. Np. Andrzeja – mojego byłego partnera, który niestety zmarł w zeszłym roku – poznałam, kiedy Kwaśniewski wygrał z Wałęsą, zamieszkaliśmy razem, kiedy SdRP przegrała z AWS, a rozstaliśmy się chwilę przed przejęciem władzy od SLD przez PiS… Ale rozumiem: nie każdy ma w głowie takie kalendarium. Natomiast żeby tak kompletnie nie znać najbardziej podstawowych faktów z historii… Ta cipa Kallas jest młodsza ode mnie o pięć lat, urodziła się i wychowała w Tallinie – co oznacza, że przez osiem lat chodziła do szkoły w Związku Radzieckim. Jak ona musiała z tych lekcji spierdalać, żeby cała historia Wielkiej Wojny Ojczyźnianej to było dla niej „coś nowego"?

– Bo ona, jak Morawiecki, już w szkole walczyła z radzieckim okupantem Estonii. Ale wracajmy do „Norymbergi"…
– Naprawdę ciekawa jest jej wymowa współczesna. To jest film o Trumpie. Koniec filmu jest taki, że… Trudno, będę spojlerować, ale w końcu wszyscy wiedzą, jak się skończyły procesy norymberskie, może z wyjątkiem Kai Kallas, która uważa, że skazali w nich Putina, albo chociaż powinni… Otóż koniec filmu jest taki, że główny bohater, amerykański psychiatra Douglas Kelley, pisze książkę o tym, że Hermann Göring i pozostali hitlerowcy, których poznał i analizował na potrzeby procesu, nie byli jakoś szczególnie nienormalni. I że jego zdaniem faszyzm może się rozwinąć wszędzie, więc także i w Stanach.

– I co, nie zgadzasz się?
– Ależ zgadzam. Kelleya spotkał za to generalny ostracyzm i w ogóle szereg nieszczęść zwieńczonych samobójstwem. A dziś, 70 lat później, wychodzi na jego: ziemia wolnych i kraj dzielnych szybko osuwa się w faszyzm. Otwarty imperializm Trumpa, szczerość, z jaką mówi, że chce wenezuelskiej ropy i generalnie Grenlandii, bo Ameryce są one potrzebne – czymże to się różni od koncepcji Lebensraum? A jaka jest różnica pomiędzy początkami antyżydowskiego terroru w Niemczech roku 1933 a polowaniami, jakie amerykańska policja emigracyjna urządza na ulicach, wyłapując ludzi, którzy nie są całkiem biali?



Rys. MAURIZIO DI BONA

– Białych też czasem trafia. Jak Renee Nicole Good, której agent ICE trzy razy strzelił w twarz, bo chciała go wyminąć samochodem. A sekretarz ds. bezpieczeństwa wewnętrznego Kristi Noem natychmiast ogłosiła, że Renee zasługiwała na zastrzelenie, bo była „krajową terrorystką".
– USA są na najlepszej drodze do faszyzmu, co mnie szczególnie nie dziwi, bo zawsze uważałam Stany za imperium zła.

– Polska też idzie w tym kierunku. Niejaki Tarczyński, europoseł PiS i trumpowa włazidupa, pochwalił na X to morderstwo, pisząc: „Good job ICE!", bo dla niego zamordowanie człowieka to dobra robota.
– Jak jesteś politykiem, którego nazwisko wszyscy kojarzą wyłącznie z marką kabanosów, musisz się jakoś wyróżniać. Zmieniając temat: może cię zdziwię, ale szkoda mi Polski 2050. Serio. Jakoś lubiłam Hołownię. Zawsze wydawał mi się lepiej wychowany…

– Od kogo?
– Sama-wiesz-kogo. Następcy. I szczerze kibicowałam Katarzynie Pełczyńskiej-Nałęcz, zwłaszcza odkąd Ryszard Petru ogłosił, że w drugiej turze będzie głosował na Hennig-Kloskę. Jak Petru kogoś nie lubi, to od razu jest mi do tego kogoś bliżej. Wracając wszakże do Hołowni…

– Kilka razy się wygłupił. Słyszałaś o Biesiadzie Felietonistów? To taka doroczna impreza organizowana przez Krzysztofa Skibę w Trójmieście, gdzie różni „Rycerze Pióra" przyznają – jak sam Skiba mówi – idiotyczne tytuły. W tym roku znalazł się między nimi „Paw Roku": „Intymny trójkąt Szymona Hołowni z Jarosławem Kaczyńskim w mieszkaniu operacyjnym Adama Bielana".
– A ja uważam, że ci wszyscy, którzy urządzili na Hołownię nagonkę za ten melanż, w ogóle nie rozumieją istoty narcyzmu.

– W odróżnieniu od ciebie?
– A jak! Otóż – jestem gotowa się założyć – on tam naprawdę nie polazł, żeby iść z Kaczyńskim do łóżka. On szczerze wierzył, że będzie tym facetem, który Kaczyńskiego przekona do demokracji, otwartości i współpracy z rządem dla dobra Polski.

– Skoro nie myślisz, że chciał obgadać zachowanie dla siebie marszałkowskiej laski albo ubić jakiś inny interes, to robisz z niego idiotę. A u Skiby „Idiotą Roku" jest „Robert Bąkiewicz, bo pomyliły mu się granice, których należy bronić". Ale równie spodobały mi się: „Człowiek Roku": „Batyr – za ochronę życia, od poczęcia aż do wyjebania do DPS" i „Nagrzanie roku": „Donald Trump nagrzany na Grenlandię, bo słyszał, że jest tam więcej młodych foczek niż na Wyspach Dziewiczych Epsteina"… A naprawdę z Grenlandią to nie są żarty. Po Wenezueli widać, że Trump nie liczy się z nikim i z niczym, a już najmniej z międzynarodowym prawem. Po trupach zaczął realizować plan, o którym powiedział w kwietniu 2025 r. w wywiadzie dla magazynu „The Atlantic". Że za pierwszym razem w Białym Domu miał dwa zadania: rządzić krajem i przetrwać, a teraz są ambitniejsze: rządzić krajem i całym światem. Niewykluczone, że pierwsza po Wenezueli będzie twoja ukochana Kuba.
– Też się tego obawiam. Dotychczas wszyscy amerykańscy prezydenci respektowali zobowiązanie Kennedy'ego z 1962 r.: że USA nigdy więcej nie spróbuje napaść Kuby. Podejrzewam zresztą, że to nie słowność, tylko taka mądra zabobonność: skoro w ostatniej chwili udało się ocalić świat przed wojną atomową – to na wszelki wypadek trzymajmy się tych ustaleń. Ale ten pojeb nawet nie wie, co to był kubański kryzys rakietowy.

– I na koniec: w tym tygodniu będziemy rozsyłać kalendarze. Więc jak jeszcze ktoś się nie zgłosił, to ostatnia okazja. Tylko uprzejmie przypominamy, że trzeba podać nam fizyczny adres, pod który kalendarz ma trafić.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 36974e8f88